

CZY MOŻNA OCHRZCIĆ POPKULTURĘ?



Adres do korespondencji:

Łapiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca i Redaktor Naczelny:

Bartłomiej Jan Wojnarowski

Zastępca Redaktora Naczelnego ds. harmonogramów i planowania:

Laura Korzeniowska

Redaguje zespół w składzie:

Krzysztof Działlik (sekretarz redakcji), Nina Małgorzata Kogut (sekretarz miesięcznika), Konrad Myszkowski (koordynator portalu adeste.eu), Piotr Władysław Sudoł (sekretarz portalu), Antonio Akmadża, Piotr Bogdanowicz, Michał Gójski, Ks. Mateusz Kopa, Szymon Kozieja, Piotr Ulrich

Współpracownicy:

Mateusz Bednarek, Jan Borowski, Jan Buczyński, Mikołaj Durka, Wojciech Gałek, Marcei Hejwowski, Piotr Krajski, Dorota Ślęczek, Tymoteusz Pyda, ks. Dawid Sebastian Tyborski, Olga Wachowiec, Bartłomiej Witeszcza

Kadra techniczna:

Okładka, skład gazety w .pdf, opieka nad serwerem: Tomasz Łukasik

Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub oraz główny webmaster adeste.eu: Maciej Andrzej Laskowski - maciej.laskowski@adeste.eu

Graficy:

Emilia Witkowska i Joanna Miśkiewicz
Rysownik i art-designer: Zofia Bryłka

Dział korekty:

Patrycja Sowińska (szef działu korekty), Dorota Białecka, Kinga Grodzka, (p.o. szefa korekty), Michał Przekwas, Dorota Szewczak (korekta portalu), Magdalena Węglarz, Mikołaj Wolanin, Aleksandra Żak.

Dział rozwoju i promocji:

Anna Piontek - szef działu rozwoju i promocji - promocja@adeste.eu, Norbert Bryłka, Zofia Bryłka, Tomasz Leszczyński, Aleksandra Liszka, Tomasz Łukasik, Szymon Stempkowski, Piotr Władysław Sudoł.

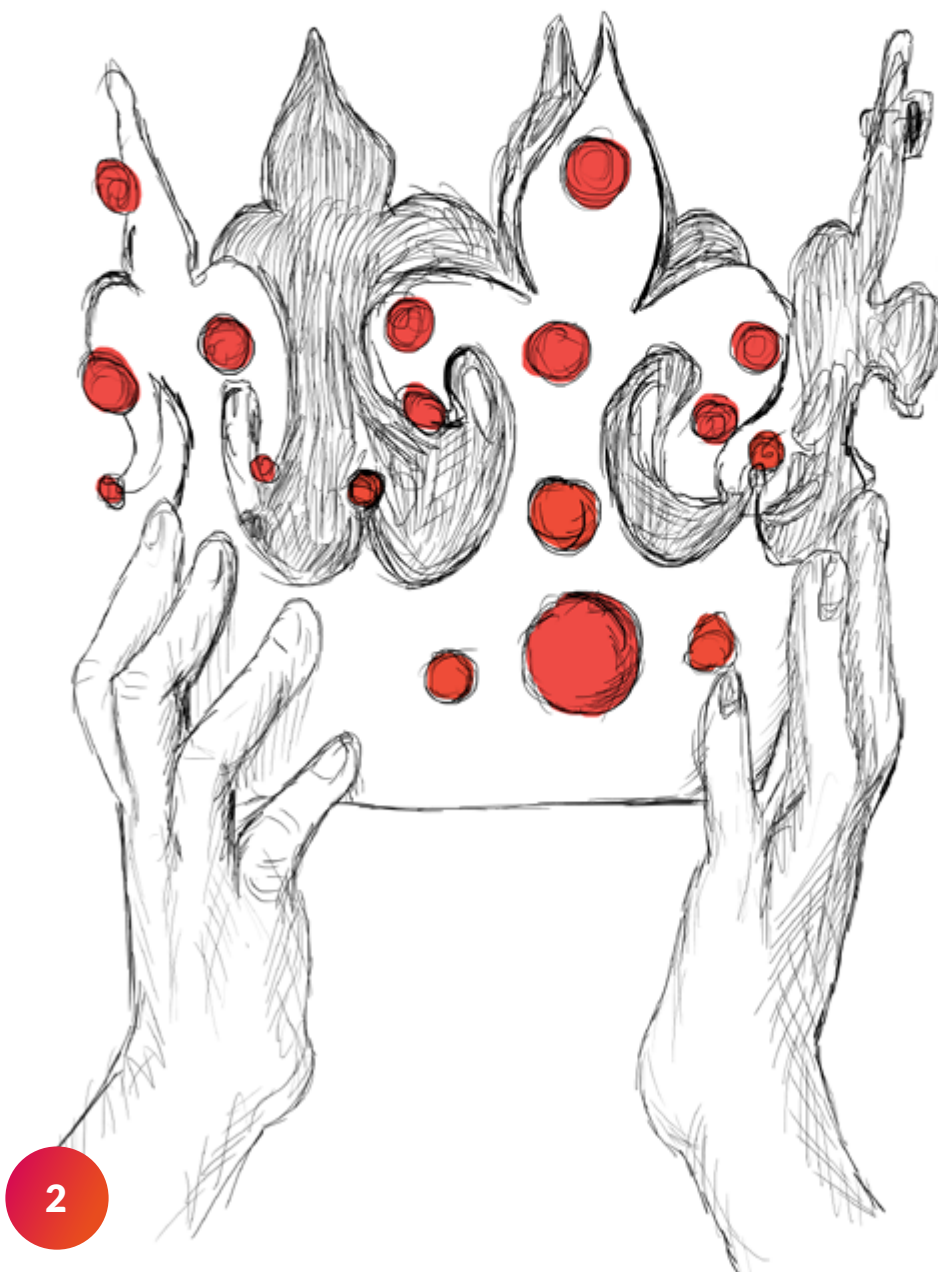
Konsultacja teologiczna:

Piotr Bogdanowicz i Michał Ryłko

Post-korekta:

Joanna Miśkiewicz i Dominika Tomaszewska

A także każdy, kto modlitwą, pomocą, wsparciem technicznym, finansowym czy organizacyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.



Ilustracja: Zofia Bryłka

Spis treści

TEMAT NUMERU

- David Bowie i Bóg
Marceli Hejwowski 4

WIARA

- Św. Jan od Krzyża – czy warto?
Piotr Sudół 8

- Zbawieni cierpieniem?
Joanna Drzewowska OV 11

- Zbudowała zgromadzenie cierpieniem –
Służebnica Boża matka Józefa Karska
ks. Dawid Tyborski 16

- Czyściec, czyli pomiędzy „już” i „jeszcze
nie”
Piotr Bogdanowicz 23

SPOŁECZEŃSTWO

- Ry(m)cerze Boga
Mateusz Bednarek 27

- Trzej Królowie – historia prawdziwa?
Jan Borowski 31

- Prawdziwy Obraz
Szymon Kozieja 35

KULTURA

- Prześladowania i kakure kirishitan w epo-
ce Edo
Marceli Hejwowski 38

- Diabli, czyścicow i boski – czyli religia po
Kaczmarzku
Konrad Myszkowski 40

- Historię piszą filmowcy
Wojciech Gałek 46



źródło:unsplash.com

Drodzy Czytelnicy i Sympatycy miesięcznika „Adeste”!

Przekroczyliśmy próg 2019 roku. Czasu, który pozostaje dla nas nie tylko wielką niewiadomą, ale przede wszystkim szansą na rozwój i świętość. Również dla naszego Miesięcznika może okazać się on rokiem wzrostu oraz wielu otrzymanych łask, w którym młodzi będą angażować się i głosić z radością, że Bóg żyje.

W 16. numerze miesięcznika „Adeste” wspólnie z Wami podejmiemy refleksję nad obecnością Boga w mediach i charakterem współczesnej kultury. A może antykultury? Czy dzisiaj z ekranów telewizorów, komputerów i rozgłośni radiowych sęczy się wyłącznie antychrześcijańska propaganda? I czy może być tak źle? Czyżby postać Boga występowała w popkulturze jedynie jako obiekt cierpkich drwin? Czy Pan opuścił place naszych miast, zatłoczone ulice wielkich metropolii, zamknął oczy na gigantyczne wydarzenia i koncerty? Nie. On jest ciągle obecny, lecz pragnie przemawiać językiem, który obecne pokolenie zrozumie i przez który przyjmie w pełni przesłanie Ewangelii.

Bóg na przestrzeni dziejów pokazuje nam, że chce być z ludźmi. Niezależnie czy komunikują się na glinianych tabliczkach, czy przez Messengera; czy chodzą w tunikach, czy może w dżinsach. Sama kultura także pełna jest odniesień do Boga, Jego Opatrzności oraz historii zbawienia. Chociaż wydaje się, że XXI wiek to czas sekularyzacji, w którym popkultura wymaga od nas pewnego rodzaju mentalnej apostazji, w wielu wymiarach popularnego przekazu wiara wciąż pozostaje fundamentalną wartością. W muzyce, sztuce, czy serialach twórcy zachęcają widzów do refleksji nad sprawami najwyższymi. Wystarczy wspomnieć produkcję Młody Papież, murale Banksy’ego czy twórczość Arvo Pärta.

Bóg delikatnie, lecz pewnie, prowadzi ludzkość i kulturę po drogach swojej Łaski. Od Ave Maria w klasycznym wykonaniu Bacha po Ave Mary A współczesnej nam wokalistki Pink, która modli się do Matki Bożej za zmęczonych ludzi tkwiących na zimnych parkingach i pustych placach miast.

Dlatego właśnie w najbliższym numerze nie zabraknie odniesień do współczesnej muzyki, sztuki i literatury. Pojawią się także artykuły o świętych, bohaterach wiary i teologii. Mamy nadzieję, że dzięki tej różnorodności każdy z Was, młodych Kościoła, znajdzie coś dla siebie i zechce włączyć się w toczącą się dyskusję. Twórzmy Kościół, o jakim marzymy, pozostając wiernymi przesłaniu Ewangelii i testamentowi Krzyża.



Z modlitwą +
Bartłomiej J. Wojnarowski
Redaktor Naczelny miesięcznika Adeste



źródło:marieclaire.co.uk

David Bowie i Bóg



Marcei Hejwowski

Piosenkarz, kompozytor, autor tekstów, multiinstrumentalista, producent, aranżer, aktor, malarz, kolekcjoner sztuki, innowator, skandalista, gwiazda, artysta, androgyniczny przybysz z kosmosu, intelektualista... David Bowie znany jest z posiadania wielu obliczy. Z czasem jednak spośród nich zaczął wyłaniać się człowiek kierujący się ku Bogu, kontemplator i poszukiwacz.

Zmarły w styczniu 2016 roku muzyk do końca pozostał niejednoznaczny. Również po śmierci okrywa go swoista warstwa tajemniczości, czy też prywatności. Może dlatego polska Wikipedia notuje: „[David Bowie - przyp. red.] był ateistą, chociaż...”. W tym artykule opiszę pokrótce to „chociaż”. Zdaje się bowiem, że być może jego domniemany ateizm jest równie

prawdziwy, jak jego domniemany homoseksualizm (wedle jego znajomych z lat 60. i 70., potrafił mówić o homoseksualizmie, ale gdy na horyzoncie pojawiły się jakieś dziewczyny, od razu porzucał ten wątek).

Rodzina Jonesów

Artysta urodził się w drugiej połowie lat 40. jako David

Robert Jones w londyńskim Brixton. Jego ojciec był drobnym przedsiębiorcą i filantropem. Podarował swemu synowi krzyżyk, który ten nosił od pewnego momentu stale. David Jones miał też przyrodniego brata, Terry'ego, który był schizofrenikiem. Przyszły Bowie swój muzyczny debiut miał w kościele, będącym świątynią anglikańską. Posługiwał tam jako scho-

lista, głównie na ślubach. Dosyć wcześnie zainspirował się rock and rollem i gdy przyszła pora na wybór między technikum i liceum, wybrał to pierwsze, mimo że wyniki pozwalały mu pójść do dobrego liceum. Poszedł jednak do szkoły technicznej, ponieważ tam miał większą możliwość rozwijać się muzycznie. Tam też zaczął grać na saksofonie.

Nie od razu jednak udało mu się wybić. Pierwsza płyta, która została wydana, gdy miał dwadzieścia lat, okazała się być komercyjnym fiaskiem. David był rozgoryczony. Oznajmił, że kończy z muzyką i zostaje buddyzm mnichem, po czym udał się do Tibet House w Londynie.

Salwy sławy i kokaina

Nie zabawiał tam jednak zbyt długo. Później bagatelizował swoje zaangażowanie w buddyzm; mówił, że owszem, był buddystą, ale przez jakiś kwadrans. Przełom lat 60. i 70. był dla niego bardzo owocny: Space Oddity (1969) dotarło do całkiem wysokiej pozycji na listach, *The Man Who Sold the World* (1970) i *Hunky Dory* (1971) były już całkiem spójnymi, dobrymi albumami. Światową sławę przyniósł jednak dopiero *The Rise and Fall of Ziggy Stardust and the Spiders from Mars* (1972) i towarzysząca mu trasa koncertowa The Ziggy Stardust Tour.



źródło:wikimedia.org

Bowie wcielił się w tytułowego Ziggy'ego, przybysza z kosmosu, który ostrzega pogrążoną w degrengoladzie Ziemię przed grożącą jej katastrofą. Zrobił to na tyle przekonująco, że w pewnym momencie „Ziggy Stardust” stał się synonimem dla „David Bowie”.

Jednakże w 1973 roku odestał swoje alter ego na emeryturę. W czterech kolejnych albumach eksperymentował z muzyką. Zaczął też eksperymenty na sobie. W filmie z 1976 roku, w *Człowieku, który spadł na ziemię*, widać jak gwiazdor stał

się chudy i wyniszczony przez kokainę. Zapewne dlatego był znakomity w tytułowej roli. Wystąpił jako kosmita (kosmos jest ciekawym, powtarzającym się motywem w całokształcie pracy artystycznej Davida), który przybywa na naszą planetę, aby rozpocząć przewóz surowca brakującego na jego ojczystej planecie: wody. Uda mu się rozpocząć pracę nad tym, jednakże przyjemności tego świata sprawiają, że coraz bardziej chce na nim zostać, zapominając o swej rodzinie na innym globie. Ta smutna historia zarazem

Bowie w 1990 roku na festiwalu Rock in Chile



źródło: wikimedia.org

ukazuje alegorycznie człowieka uwikłanego w grzech, jak i jest też odbiciem stanu samego aktora. Muzyk w tym czasie stracił kontrolę nad rozwojem wydarzeń w swoim życiu.

W tym samym roku wydana została płyta *Station to Station*, która zmieniła sytuację. Bowie zaczął rozumieć, że musi odstawić kokainę. Rodziło się w nim też postanowienie przeprowadzki do Europy, wraz z kilkoma towarzyszami, między innymi Iggyem Popem, który cierpiał

na uzależnienie od gorszego narkotyku, heroiny. *Station to Station* był też duchowym przełomem. Tytułowa piosenka, która wprawdzie zaczynała się od dźwięku pociągu, była wedle jej twórcy przede wszystkim odniesieniem do stacji drogi krzyżowej. Pojawiły się też odniesienia do kabały, żydowskiej mistyki. „Here are we, one magical movement/ From Kether to Malkuth/ There are you, drive like a demon from station to station” („Tu jesteśmy my, jeden magicz-

ny ruch/ z Ketera do Malchuta/ tam jesteście wy, jeździecie jak demon od stacji do stacji”). Chodzi o to, że w kabalistycznym Drzewie Życia, przedstawiającym dziesięć światowych sfer, najwyższą sferą, będącą czystą emanacją Boga, było Keter. Malkuth natomiast oznaczało świat materialny. Bezpośredni ruch pomiędzy tymi sferami jest wedle kabały bardzo rzadki; niektórzy kabaliści, łączący swą księgę z Nowym Testamentem, twierdzą, że taki ruch wystąpił podczas ukrzyżowania Jezusa. Poza enigmatycznymi wersami w piosence jest też proste wyznanie: „Got to keep searching and searching/ And oh what will I be believing/ And who will connect me with love?” („Muszę wciąż szukać i szukać/ Och, czegoś, w co uwierzę/ I kogoś, kto przywróci mi miłość”). Zdaje się, że Bowie w ten sposób wyraził swoją tęsknotę za jakąś wiarą i za miłością. Sam zainteresowany twierdził, że niewiele pamięta z nagrywania całej płyty. Trzeci kawałek na albumie jest zupełnie inny od nieco mrocznego *Station to Station*. *Word on a Wing* tchnie chrześcijańskim duchem. „In this age of grand delusion/ you walked into my life out of my dreams/ Sweet name, you're born once again for me” („W tym czasie wielkiego złudzenia/wkroczyłeś w moje życie wprost z moich marzeń/ Słodkie

imię, jesteś zrodzone znów dla mnie”). W dalszej części podmiot liryczny zaprzecza tezie, jakoby wiara była zanegowaniem rozumu, po czym kieruje swoją modlitwę ku Bogu: „Just because I believe don't mean I don't think as well/ Don't have to question everything in Heaven or Hell/ Lord I kneel and offer you my word on a wing/ And I'm trying hard to fit among your scheme of things” („To, że wierzę, nie oznacza, że nie myślę/ Nie muszę kwestionować wszystkiego w niebie i w piekle/ Panie, klękę przed Tobą i ofiarowuję Ci moje słowo na skrzydle/ I mocno się staram wpasować w Twój schemat świata”).

Późniejsze lata

W Berlinie Zachodnim wyleczył się z narkomanii. I choć zdawać by się mogło, że będzie więcej pisał o Bogu, w kolejnych płytach raczej unikał tematyki duchowej. Ale pojawiła się tematyka religii – w *Loving the Alien* Bowie z niechęcią odniósł się do religii jako systemu. W *1. Outside* z 1996 roku pojawiły się rozważania na temat predestynacji i Boskiego planu. W *No Control* podmiot zastanawia się, czy Bóg ma dla niego plan i czy powinien spędzić życie „na zgiętym kolanie”, skoro nie może, jak się wydaje, kontrolować swej przyszłości. Z całą pewnością lata

80. i 90. były dla artysty czasem stabilizacji. Porzucił już kokainę i hulaszczy tryb życia, a w 1992, ożeniwszy się ze swą drugą żoną, Iman, zerwał ostatecznie z hedonizmem seksualnym. Kiedyś jawnie prowadzący wyuzdane życie i szokujący opinię publiczną swymi homoseksualnymi pozami, teraz głoszący pochwałę rodzinnego życia „mąż jednej żony”. W tym samym roku na koncercie *The Freddie Mercury Tribute Concert* zrobił na oczach dziesiątków tysięcy widzów (i wielu innych oglądających bądź słuchających transmisji) coś jeszcze bardziej szokującego. Po swym występie (na tym koncercie występowało wielu różnych wykonawców) przyklęknął i odmówił modlitwę Ojcie nasz. Sam później mówił, że była to jedynie deklaracja wiary w Boga, a nie deklaracja chrześcijaństwa. Wybrał *Modlitwę Pańską* ze względu na jej powszechność w kulturze europejskiej.

Owocem rozważań na temat wiary był *Heathen* (2002). *Heathen* znaczy „poganin”. Wedle Davida płyta miała być prezentem dla współczesnego człowieka, który stał się materialnym, nieoświeconym poganinem. Bowie porusza temat wiary, poszukiwania Boga i jego woli. Dominuje nastrój medytacyjny, kontemplacyjny. W *I Would Be Your Slave* wyraża swe pragnie-

nie głębszego poznania Boga i służenia mu. Jest to wielowiatkowe, bardzo ciekawe dzieło.

Ostatnie lata życia muzyka są owiane tajemnicą. Nie wiemy jak umarł odtwórca Piłata w Ostatnim kuszeniu Chrystusa Martina Scorsese. Teledysk do *The Next Day* wywołał ogromne kontrowersje jako antychrześcijański. Jednakże jest on dwuznaczny; Bowie zdaje się występować w nim jako krytyk nadużyć, a tekst raczej kreuje podmiot liryczny na starotestamentalnego proroka, niż szydzi z wiary. Osobiście zastanawiam się, czy po Klerze Smarzowskiego, aferze abpa McCarricka i aferze z listem nuncjusza Viganò *The Next Day* kogokolwiek może szokować. Ostatni krążek artysty, „★”, jest wieloznaczny i trudny do zinterpretowania. W piosence *Lazarus* David Bowie śpiewa „Look up here, I'm in heaven” („patrzcie w górę, jestem w niebie”). Napisał te słowa walcząc z rakiem, który w końcu go pokonał.

Miejmy nadzieję, że faktycznie tam się znajduje, pojednany z Bogiem.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?

Św. Jan od Krzyża – czy warto?



Piotr Sudół

Raczej większość katolików co najmniej raz w życiu słyszała w kościele czy poza nim o takiej osobie jak św. Jan od Krzyża. W mojej pamięci długo istniała wzmianka o tym świętym, lecz nie znałem szczegółów z jego życia. Było tak do czasu, kiedy po nieco dokładniejszym zbadaniu historii tej postaci stwierdziłem niemalże w ciemno, że warto przeczytać jego dzieła. Minął rok, podjęte postanowienie prawie w pełni wypełniłem. Niewątpliwie ta spontaniczna decyzja okazała się dla mnie bardzo dobrym krokiem w życiu duchowym. Chciałbym podzielić się z tobą, czytelniku, moimi refleksjami i wprowadzić cię w niewielkim stopniu w przestrzeń mistyki tego Doktora Kościoła.



źródło: wikimedia.org

Święty karmelita

Sama biografia św. Jana jest bardzo burzliwa i trudno byłoby przedstawić ją w całości. Jednak należy koniecznie o niej wspomnieć, jeżeli chce się lepiej zrozumieć jego twórczość i duchowość. Przyszły święty urodził się w 1542 roku w Fontiveros, w Hiszpanii jako Juan de

Yepes Alvarez. Wychowywał się w biednej rodzinie, a jakby tego było mało, gdy miał 7 lat – zmarł jego ojciec. Jako siedemnastolatek rozpoczął pracę w szpitalu i jednocześnie pobierał czteroletnie nauki w szkole jezuitów. W 1563 roku wstąpił do karmelitów. Tam odbył nowicjat i studia w Salamance. W 1567 roku otrzymał święcenia kapłańskie.

Chciał wstąpić do kartuzów, gdyż bardzo umiłował sobie kontemplację i ciszę. Od tego pomysłu odwołała go późniejsza święta, Teresa z Ávili. To razem z nią w 1568 roku utworzył pierwszy klasztor w Duruelo. Reguła była znacznie surowsza i bardziej podobna do pierwotnej reguły karmelitów, której charakterystyczną cechą był

brak obuwia, od czego powstała nazwa nowego zgromadzenia. Powstawanie dalszych klasztorów jednak nie było na rękę innym karmelitom. Nie wszyscy ochoczo przystawali na reformy Jana i Teresy. Konflikt narastał, w 1576 roku św. Jan został aresztowany, ale potem zwolniony dzięki wpływowi nuncjusza. W 1577 roku jego własni bracia uwięzili go i traktowali wyjątkowo źle. Mimo tego udało mu się podczas uwięzienia rozpocząć pisanie Pieśni duchowej. Z więzienia jednak udało mu się uciec. Do końca życia aktywnie wspierał swój zakon, który od 1580 oficjalnie oddzielił się od karmelitów trzewickowych i został powszechnie nazwany zakonem karmelitów bosych. Zmarł w roku 1591 roku na różę. Jego życie było niewątpliwie trudne, obfite w wiele przykrych przeżyć, jakie zgotowali mu bracia, i problemów związanych z tworzeniem nowego zakonu. Jan od Krzyża pozostawił po sobie nie tylko wspólnotę zakonną, ale również twórczość poetycko-teologiczną, w której widoczne są wpływy z jego biografii.

Pod górę (Karmel)

Droga na Górę Karmel to jedno z czterech największych dzieł Doktora Mistycznego. Jednocześnie to utwór prawdopodobnie najbardziej

Szkic ukrzyżowanego Chrystusa autorstwa Jana od Krzyża



źródło: wikipedia.org

kojarzony właśnie ze św. Janem od Krzyża. Same słowa „droga na górę Karmel” już sygnalizują związek z ogólnie rozumianą duchowością karmelitów. Skąd się jednak ona wzięła? Z pewnością nie chodzi tu o karmel, którego smak każdy uwielbiał w dzieciństwie. Samo słowo „góra” kojarzy się nam ze szczytem, który niekiedy jest trudno zdobyć. Czym jest jednak góra Karmel? Przede wszystkim pojawia się kilka razy w tekstach biblijnych. Samo słowo „Karmel” (כַּרְמֶל) oznacza z języka hebrajskiego ogród. Spotykamy je m.in. w Pieśni nad Pieśniami „Głowa Twoja jak Karmel” (PnP 7, 5). To właśnie na górze Karmel samotnie, tajemniczo obcował z Bogiem prorok Eliasza, tak ważna postać dla karmelitów i karmelitanek.

Jan od Krzyża bardzo bliski jest właśnie takiej pełnej wyciszenia relacji z Bogiem. Sama droga do obcowania z Bogiem zostaje przedstawiona jako bardzo trudna: „By wstąpić na drogę ku Bogu, trzeba wszystko, co jest stworzone, oczyścić i spalić ogniem Bożej miłości. Przez to oczyszczenie wypędza się szatana, który ma władzę nad duszą z powodu jej przyłgnięcia do rzeczy cielesnych i doczesnych” (św. Jan od Krzyża, Droga na Górę Karmel, 2013, s. 43). Doktor Mistyczny od początku daje czytelnikowi do zrozumienia, że jedność z Bogiem jest wymagająca. Nie jest to tania opowieść o tym, że wystarczy ledwie kilka rzeczy dla Boga i całe życie będzie nam się wiodło. W relacji z Panem Bogiem, według kar-

Przedstawiciele zakonu
Karmelitów



źródło: wikimedia.org

melitańskiego mistrza, potrzebne jest radykalne oczyszczenie lub ogołocenie. Te terminy są bardzo charakterystyczne dla św. Jana. Stanowią swego rodzaju jedną z podstaw jego nauk. Czym jednak jest ogołocenie?

Ogołocić się

Droga do Boga według św. Jana od Krzyża nie wiedzie przez rzeczy przyjemne i proste. Zamiast tego jest pełna trudu i wyrzeczeń. Surowa duchowość ma swój sens i źródło w Piśmie Świętym. W Ewangelii św. Mateusza czytamy: „Jakże ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do życia, a mało jest takich, którzy ją znajdują!” (Mt 7, 14) Sam Chrystus uświadamia nam, że droga do życia wiecznego jest bardzo trudna i nie wszyscy mogą jej dostąpić. Św. Jan

od Krzyża w swojej interpretacji tego fragmentu pisze: „Słowa – ciasna brama, możemy bowiem odnieść do części zmysłowej człowieka, a wąska droga możemy stosować do części duchowej, czyli rozumowej. Ta bowiem ścieżka na wzniosłą górę doskonałości, jako że jest stroma i ciasna, takich wymaga podróżnych, którzy ani nie dźwigają niczego, co by ich ciągnęło w dół, ni czegokolwiek, co by przeszkadzało im iść w górę” (św. Jan od Krzyża, Droga na Górę Karmel, 2013, s. 24). Z tego fragmentu powoli wyłania się jedno z najważniejszych przesłań zawartych w Drodze na Górę Karmel. Doktor Mistyczny daje do zrozumienia, że aby związać się z Bogiem, który jest wszystkim, trzeba przyjść z niczym. Wyzyść się wszystkich nawyków i upodobań, które utrudnia-

ją nam dążenie do Niego. Nie chodzi tu jednak tylko o to, co ziemskie i materialne. Jan od Krzyża pisząc o ogołoceniu, ma na myśli „ogółocenie duchowe ze wszystkich rzeczy, tak zmysłowych jak i duchowych”. Jak jednak dokonuje się owo ogołocenie? Jak zwrócić swoje zmysły do Boga? Według Jana od Krzyża duszę i ciało trzeba oczyścić w trakcie “nocy”. Człowieczą duszę oczyszcza „ogień”...

c.d.n

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*



źródło: pixabay.com

Zbawieni cierpieniem?



Joanna Drzewowska OV

„Nie uszlachetnia” – miał napisać na łożu śmierci ks. prof. Józef Tischner. „Nie ono dźwiga. Wręcz przeciwnie, cierpienie zawsze niszczy” – stwierdził nieco wcześniej w jednym ze swoich ostatnich dzieł pt. „Miłość”. „Cierpienie samo w sobie jest złem”, powiedział jednoznacznie święty Jan Paweł II na spotkaniu z osobami chorymi w Belgii w 1985 r. Czy zatem istnieje sens cierpienia, a jeśli tak, to jaki?

O Polakach mówi się często, że mają tendencje do gloryfikowania cierpienia. Z pewnością „coś w tym jest”. Od najmłodszych lat karmieni opowieściami, jak chwalebne jest oddawanie życia za miliony i jak cenną, a wręcz bezcenną, wartość ma dla świata ofiara Mesjasza Narodów, niezachwianie wierzymy, że ludzki ból ma wartość od-

kupieńczą. Również w Kościele zdarza się usłyszeć najbardziej powierzchowną z możliwych interpretacji przypowieści o bogaczu i Łazarzu (Łk 16, 19-31): biedak poszedł do nieba, bo na ziemi było mu źle. Podobny wniosek zdaje się wprost wynikać z ośmiu (czy może – jak w Łk 6, 20-23 – czterech) błogosławieństw: jeśli teraz płaczecie,

w wieczności będziecie się cieszyć. Prosty schemat: „cierp, duszo, a będziesz zbawiona” zwykle działa dobrze do chwili pierwszej osobistej konfrontacji z poważnym bólem.

Pocałunek Jezusa?

Znana jest opowieść o tym, jak Matka Teresa z Kalkuty tłu-



źródło: pixabay.com

maczyła cierpienie któremuś ze swoich znalezionych na ulicy podopiecznych, którzy trafili pod jej opiekę w opłakanym stanie. Miała powiedzieć do mężczyzny: „boli cię, a to oznacza, że Jezus cię całuje”, na co mężczyzna odrzekł: „to powiedz temu swojemu Jezusowi, żeby przestał”. Istnieją nieco ugrzecznione wersje tej historii, z łagodniejszą odpowiedzią, ale nie zachował się żaden przekaz, który by potwierdzał, że Matka Teresa użyła podobnego argumentu jeszcze raz w stosunku do kogośkolwiek. Krótka odpowiedź biedaka prawdopodobnie bardzo skutecznie zmieniła jej rozumienie sensu ludzkiego bólu.

Najoczywistsze i najbardziej ludzkie podejście do cierpienia jest bardzo proste: jest ono złem i o ile to możliwe, należy je wyeliminować. Jeśli krzyż jest pocałunkiem Boga, normalny człowiek zwyczajnie nie życzy sobie takich pocałunków. Jeśli

miłość Boga miałyby wyrażać się w zadawaniu człowiekowi bólu, to chyba coś nie tak z tą miłością. Być może dałoby się to lepiej zrozumieć, gdyby Bóg zsyłał trudne sytuacje jako karę za ludzkie grzechy. Z takiej perspektywy zresztą patrzyli na problem cierpienia prorocy Starego Testamentu.

Przekleństwo czy lek?

Zacznijmy od przytoczenia faktu, że w Biblii cierpienie pojawia się jako skutek grzechu pierwotnego, a potem każdego następnego grzechu. Ewa zjada zakazany owoc i dlatego odtąd w bólu ma kochać swego męża i rodzić dzieci. Kain zabija Abela, a potem wiedzie życie wygnańca. Dla Izraelitów każde odstępstwo od Bożego Prawa skutkuje kolejną ciężką niewolą, natomiast dobrobyt i spokojne życie ukazane są jako znak Bożego błogosławieństwa. Jeśli

będziesz przestrzegał Prawa, będzie ci się dobrze wiodło na ziemi (por. Pwt 6,2-3).

Biblia niemal od początku ukazuje także aspekt dydaktyczny cierpienia na prostej zasadzie kija i marchewki: nie wybieraj zła, bo będziesz cierpieć. Niemal wszystkie księgi prorockie można by podsumować krótką radą: odwróć się od zła, a Bóg odwróci trudne wydarzenia. Zatem dopuszczając nieszczęścia, Bóg podaje nam je jak gorzkie, lecz skuteczne lekarstwo, które umożliwia człowiekowi zorientowanie się w sytuacji grzechu i ukierunkowanie na wyjście ze zła ku dobru (por. Ps 78,34). Podkreślony zostaje wyraźnie aspekt wychowawczy: „prześladowania były nie po to, aby zniszczyć, ale aby wychować nasz naród. A więc nigdy nie cofa On od nas swojego miłosierdzia; choć wychowuje przez przesładowania, to jednak nie opuszcza swojego ludu” (2 Mch 6,12b.16).

Próba wybranych?

Można by zaryzykować twierdzenie, że według logiki Starego Testamentu człowiek zupełnie sprawiedliwy i dojrzały w wierze nie podlegałby cierpieniom, a im większa sprawiedliwość i wiara, tym mniej bólu w życiu. Sam Stary Testament zna jednak wyjątki od tej reguły. Cztery najbardziej znane bi-

blijne postacie z czasów przed Chrystusem, doświadczające ogromnego cierpienia mimo niezwyklej prawości i wielkiej wiary, to Hiob, starszy Tobiasz, prorok Jeremiasz i Sługa Pański z Księgi Izajasza.

O ile dotąd cierpienie miało być karą za niesprawiedliwość, wszyscy czterej opisani są w Piśmie Świętym jako mężowie prawi, a ich trudne położenie nie wynika z grzechu. Z chrześcijańskiego punktu widzenia trudno wytłumaczyć genezę nieszczęść Hioba, nie biorąc pod uwagę kwestii układu Boga z szatanem (Hi 1,6-12). Można się w tym miejscu doszukiwać pewnego rodzaju próby – „Bóg doświadczył wybranych jak złoto w tyglu i znalazł ich godnymi Siebie” (Mdr 3,5-6). Uzasadnienie to wydaje się na tyle logiczne, że przyjmowało je wiele pokoleń chrześcijan. Czy Bóg jednak rzeczywiście potrzebuje sprawdzać swoich wybranych? Czy nie zna ich lepiej niż ktokolwiek inny bez dokonywania bolesnych prób? Bóg przecież od początku jest pewny wierności Hioba. Być może próba ma więc pokazać czy udowodnić pewne kwestie nie Bogu, ale raczej cierpiącemu, czy może nawet szatanowi?

Akt zbawczy?

W cierpieniu Sługi Pańskiego z Księgi Izajasza znajdujemy



źródło: pixabay.com

jeszcze inny wymiar cierpienia: „On się obarczył naszym cierpieniem, On dźwigał nasze boleści” (Iz 53,4-6). Można zatem cierpieć w zamian za kogoś innego. Więcej, udręką przyjętą z ręki Boga można wysłużyć bliźnim zbawienie (Iz 53,10-11). Niestety, można tego dokonać tylko pod jednym, malutkim warunkiem: że jest się Mesjaszem.

Cierpienie człowieka, choćby największe, samo w sobie nie jest w stanie wykupić nikogo innego. Która matka, patrząc na ból dziecka, nie wolałaby przeżywać cierpienia i umierać zamiast niego? Nawet cierpiąc najbardziej i ofiarując się najszczerzej, człowiek nie jest w stanie wziąć na siebie choćby części udręk kogoś ukochanego i sprawić, żeby ten cierpiał mniej. Czy nie ten rodzaj męki przeżywała Maryja, stojąc pod krzyżem Jezusa w całkowitej bezradności wobec cierpienia Syna?

Ludzkie cierpienie samo w sobie nie ma również mocy, by zbawić tego, który cierpi – gdyby tak było, Kościół powinien kanonizować wszystkich, którzy umierają w hospicjach i na wieżach szpitalnych oddziałach. Okazuje się jednak, że „nazbyt jest kosztowne wyzwolenie duszy i nigdy [człowiekowi] na to nie starczy” (Ps 49,9-10), choćby umierał w niewypowiedzianym bólu. Rak cię nie zbawi, cała teologia chrześcijańska mówi o tym jednoznacznie. Zbawił cię Chrystus.

Współcierpienie?

Jezus Chrystus jest jedynym Zbawicielem świata. Jeśli jednak Maryja, będąc tylko człowiekiem, może – choć dogmatu takiego jak dotąd jeszcze nie ogłoszono – być nazywana Współodkupicielką, to człowiek, łącząc się z dziełem Odkupienia, również otrzymuje szansę, by



Razem w miłości?

Jeśli Maryja może być nazywana Współodkupicielką, to nie tylko dlatego, że stała pod krzyżem. Ona trwała z Nim przecież od początku, od radości Wcielenia do radości Zmartwychwstania, a potem po radość Zesłania Ducha Świętego. Czy fakt, że towarzyszyła Jezusowi w Jego małych i wielkich radościach, był dziełem mniej zbawczym niż udział w Jego cierpieniu?

mieć w nim swój udział. To, czego nigdy nie będzie w stanie wypełnić sam z siebie, zaczyna się urzeczywistniać, kiedy zostanie złączone z Chrystusem i Jego zasługami.

Już św. Paweł zauważył, że chrześcijanin może uczestniczyć w dziele zbawienia, jeśli jednoczy się w sytuacjach trudnych z cierpieniem Pana. „W moim ciebie dopełniam braki udręk Chrystusa, dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół”, napisał w liście do Kolosan (Kol 1,24). Na ten werset powoływało się wielu świętych, których pragnienie współdziałania z Chrystusem w dziele odkupienia było tak silne, że z własnej woli i chęci podejmowali przeróżne formy ascezy. Czy była to właściwa droga? Kościół w naszych czasach zakazuje podejmowania pewnych rodzajów praktyk pokutnych szeroko rozpowszechnionych jeszcze dwieście

lat temu. Współczesna teologia stawia akcent na Niedzielę Zmartwychwstania, nie na Wielki Piątek.

Dyskusje, czy większą moc zbawczą ma męka, czy zmartwychwstanie Chrystusa, przypominająby nieco średniewieczne debaty na temat ilości diabłów na główce szpilki. Faktem jest, że Bóg zechciał zbawić nas przez Jego Paschę: Mękę, Śmierć i Zmartwychwstanie traktuje się jako jedno wydarzenie, jeden trójdzień – Triduum, którego nawet liturgia zdecydowała się nie rozdzielać. Moc zbawczą ma całe ziemskie życie Jezusa, od Wcielenia po Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie. Dlaczego chrześcijanin, który chce współuczestniczyć z Chrystusem w dziele zbawienia, ogranicza się do współuczestnictwa w Jego cierpieniu?... No właśnie, ogranicza się.

Jeżeli uczestnictwo człowieka w dziele zbawienia świata opiera się na zjednoczeniu z Chrystusem, to cierpienie wcale nie jest najważniejsze. Owszem, najostrzej ukazuje głębię zjednoczenia – podobnie jak miłość najmocniej odznacza się w sytuacjach trudnych. Istotą wcale nie jest jednak ból, tylko zjednoczenie człowieka z Bogiem, osoby z Osobą, współudział i współtrwanie w miłości.

Ostatecznie to Miłość zbawiła świat (J 3, 16). Tak, bezsprzecznie Krzyż jest kulminacyjnym i najwspanialszym przejawem miłości Boga do człowieka. Sam Bóg nie poprzestał jednak na Krzyżu. W Jego Miłości nie wystarczyło Mu, by Mesjasz przyszedł na ziemię na trzy dni, odcierpiał przeznaczoną dla Niego część bólu, a potem znikł – nawet jeśli taka wersja wydarzeń całkowicie umożliwiłaby nam osiągnięcie



źródło: wikimedia.org

zbawienia. Trzeba było tysięcy lat historii Starego Testamentu, kilkudziesięciu lat życia Jezusa zwieńczonego Zmartwychwstaniem i Wniebowstąpieniem, a potem kolejnych tysięcy lat po Chrystusie, by Miłość Boża mogła objawiła się i zrealizowała w pełni. Może dopiero wtedy Pascha ukazuje się w najgłębszym znaczeniu. Stanowi je życie Chrystusa, przewidzianego od stworzenia świata (lub nawet i wcześniej - por. 1P 1,20), realizujące się po dziś dzień w Jego Kościele aż do Paruzji – wydarzenia z życia Chrystusa, które całe pozostaje Miłością, chociaż nie całe jest Krzyżem. Człowiek, odpowiadając miłością na Miłość, ma dążyć raczej do zjednoczenia z Jego Miłością niż z Jego cierpieniem, i dopiero w takim współtrwaniu z Bogiem odnajdzie uczestnictwo w zbawianiu

i siebie, i bliźnich. Jeśli chodzi o cierpienie, nie należy obawiać się jego braku – z pewnością i tak pojawi się pośród dróg życia.

Niebezpieczeństwo?

Łatwo wyobrazić sobie sytuację, w której chrześcijanie, napotkawszy człowieka potrzebującego, skwitują jego sytuację słowami: „jeśli cię boli, to znaczy, że współdziałasz z dziełem Odkupienia, to takie piękne”, po czym pozostawia cierpiącego samego z jego bólem. Zawsze można byłoby przecież postulić się w tym wypadku argumentem, że we współcierpieniu z Chrystusem przeszkadzać nie należy, nawet jeśli istniałaby możliwość usunięcia bólu środkami zgodnymi z Dekalogiem. Z drugiej strony, również bez trudu zauważyć można tendencję niechrześcijańskiego świata, który dąży do pełnego wyeliminowania cierpienia wszelkimi dostępnymi środkami, nie zważając na Dekalog.

Wielokrotnie formułowano zarzuty pod adresem Matki Teresy. Oskarża się ją, że zamiast przeciwdziałać bólowi i nędzy na ulicach Kalkuty, zwiększała je, gdyż nie zgadzała się na eutanazję, aborcję i antykoncepcję. Zarzuca się jej rozumieniem, o co chodzi autorce, że gloryfikowała ludzkie cierpienie, bo poprzestawała na jego „głaskaniu”, bez

zaangażowania choćby w zbudowanie skutecznego systemu opieki zdrowotnej dla ubogich.

Świętej Faustynie natomiast niektórzy przypisują skłonność do lubowania się w cierpieniu, szukania w nim rozkoszy i chwwały (por. Dzienniczek 303). Jednocześnie ojcu Pio można by wytknąć, że skoro zbudował dla chorych Dom Ulgi w Cierpieniu, musiał zupełnie nie doceniać jego odkupieńczej czy uszlachetniającej roli. Jeżeli jednak Kościół, beatyfikując, a potem kanonizując swoich świętych, potwierdza w pewien sposób, że wielorakie sposoby i odmienna logika działania tych osób nie przeszkodziły żadnemu z nich w osiągnięciu zbawienia, to w tym szaleństwie musi być jakaś metoda. Prawdopodobnie wcale nie chodzi ani o cierpienie, ani o jego uniknięcie. O co więc chodzi?

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:youtube.com

Zbudowała zgromadzenie cierpieniem – Służebnica Boża matka Józefa Karska



ks. Dawid Tyborski

Białe habity przepasane niebieskim sznurem są w Polsce dobrze znane – to siostry niepokalanek, które stanowią jedno z rdzennie polskich zgromadzeń oraz (jak to ujął bł. Pius IX w rozmowie z bł. Marceliną Darowską podczas audencji) są zgromadzeniem dla Polski, które formowało się w Rzymie w latach pięćdziesiątych XIX wieku. Początki istnienia związane są z postaciami Józefy Karskiej (1823–1860), o. Hieronima Kajsiwicza CR (1812–1873) i bł. Marceliny Darowskiej (1827–1911). Najmniej znaną osobą z tej trójki wydaje się Józefa Karska – pierwsza przełożona niewielkiej rzymskiej wspólnoty sióstr. Miałem łaskę w czasie wakacyjnego urlopu modlić się przy jej grobie, będąc w szymanowskim domu generalnym sióstr niepokalanek. Choć znałem jej życie bardzo ogólnikowo i oględnie, czułem w niej coś pociągającego, co kazało mi się bliżej przyjrzeć żywotowi tej cichej, prawie zapomnianej siostry, która swoim cierpieniem dała fundament nowemu zgromadzeniu.

Wiek XIX zapisał się w historii Polski, a także pamięci pokoleń tragicznymi w skutkach powstaniem. Zarówno powsta-

nie listopadowe, jak i styczniowe były pretekstem do wielu represji. Druga połowa XIX wieku zaznaczyła się także inten-

sywnym rozwojem życia religijnego w kraju oraz na emigracji. Powstało wiele żeńskich zgromadzeń zakonnych, m.in. naza-



źródło: youtube.com

retanki, zmartwychwstanki, siostry służebniczki, franciszkanki rodziny Maryi, felicjanki, wiele zgromadzeń bezhabitowych tworzonych przez bł. Honorata Koźmińskiego. Na emigracji formowało się męskie zgromadzenie zmartwychwstańców, którego historia związana jest z powstaniem sióstr niepokalanek. Powstańcza zawierucha wygnała założycieli zmartwychwstańców – Bogdana Jańskiego, o. Hieronima Kajsiwicza oraz o. Piotra Semenenko – z dala od ojczyzny, do Paryża i Rzymu. Do Wiecznego Miasta przybyła też w roku 1850 Józefa Karska.

Urodziła się w 1823 roku jako najmłodsza z córek polskiego szlachcica, Józefa Wincenego a Paulo Karskiego herbu Jastrzębiec. Imię otrzymała nieprzypadkowo – miało upamiętniać kochającego ojca, który zmarł na krótko przed jej naro-

dzinami. O wychowanie moralne i religijne dbała głęboko wierząca matka Joanna Karska. Już od młodości Józefa odznaczała się zamiłowaniem do cichości i kontemplacji. Jak sama po latach pisała: „lubiłam wpatrywać się w niebo, choć wówczas nie wiedziałam, co się we mnie działo” (Kosyra-Cieślak H., Krzyżami zdobyłeś moje serce, 2002, s. 14). Ze szczególnym nabożeństwem oddawała siebie Chrystusowi Ukrzyżowanemu. Podczas Wielkiego Piątku opiekunki małej Józefy opowiadały jej, że ludzie w tym dniu udają się do Kościoła, aby ucałować wizerunek Chrystusa Ukrzyżowanego (tamże, s. 15). Słowa te wywarły silne wrażenie na dziecku. Józefa pragnęła słuchać słów Jezusa zawartych w Ewangelii, a prawdziwym wzruszeniem i łzami reagowała na opisy męki Pańskiej.

Duża wrażliwość dziecka

objawiała się również tym, że nie znając swojego ziemskiego ojca, za kochanego tatę obrała Ojca Niebieskiego. Jak sama wspominała: „nie znałam innego ojca jak Ojca Niebieskiego. Do Niego z dziecięcą ufnością wciąż się zwracałam i zdaje się, że Matka Boża, Aniołowie i święci (...) byli mi jak rodzona matka, siostry i bracia” (tamże, s. 16). Usłyszawszy kiedyś, że dzieci do siódmego roku życia nie grzeszą, pragnieniem Józefy stało się umrzeć przed tym wiekiem, żeby w niczym nie obrazić dobrego Boga. Tymi myślami podzieliła się ze swoją matką, która jako mądra kobieta zwróciła dziecku uwagę na to, że dłużej żyjąc, można nie tylko grzeszyć, ale też dobrze pracować dla chwały Bożej. Problem dalej zajmował dziewczynkę. Pewnego dnia proboszcz, objaśniając pani Karskiej przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, zauważył, że z wielką uwagą przysłuchuje mu się mała Józefa. Zachwycona przypowieścią, tym razem uznała, że kiedy dorosnie, tak dużo nagrzeszy, żeby dobry Ojciec mógł jej wszystkie nazbierane grzechy czule wybaczyć. Z prostą logiką dziecka kontrastuje tu wielkie pragnienie bliskości z Bogiem.

Młodość Józefy Karskiej była czasem duchowego wzrostu i budowania wewnętrznej głębi, potem przyszło pragnie-

Zdjęcie Służebnicy Bożej
Józefy Karskiej



Źródło: wikimedia.org

nie życia konsekrowanego oraz przyjęcia cierpienia, które będzie duchowym fundamentem dla całego zgromadzenia sióstr niepokalanek.

Konieczność wykształcenia oraz wprowadzenia córek w tzw. towarzystwo pchnęło Joannę Karską do zmiany miejsca zamieszkania. Nowym domem dla piętnastoletniej Józefy stała się Warszawa. Szybko okazało się, że młoda Karska obdarzona jest nie tylko niezwykłą błysko-

liwością umysłu, ale też wrażliwością na sprawy narodowe i zdolnością do poświęceń. Jednym z jej pragnień było uczynić coś dla Polski.

Czas przebywania Józefy Karskiej w Warszawie naznaczony został silnymi ruchami wolnościowymi i niepodległościowymi. W różnych kręgach społeczeństwa narastało pragnienie wyzwolenia Polski z kajdan niewoli oraz zmiany sytuacji politycznej. Ówczesne środo-

wisko intelektualne Józefy deprecjonowało jednak wartość życia wewnętrznego oraz związek życia z praktykami religijnymi i sakramentami. Czuła się osamotniona i niezrozumiana, spotykała się z szyderstwem, a także kpinami znajomych. Nie mogąc znaleźć podobnej duszy, Józefa zaczęła się chwiać w swoich poglądach i dostosowywać do dość snobistycznego środowiska, które ją otaczało. Ta swego rodzaju zdrada własnych przekonań była później obciążeniem dla duszy Józefy. Próżno jednak w jej historii, nawet w tym trudnym okresie, szukać przejawów grzesznego życia czy zepsucia moralnego. Wprost przeciwnie – odwiedzała chorych i biednych, a nawet próbowała ratować przywódcę spisku, którego władze carskie zamknęły w więzieniu.

W 1849 roku podczas modlitwy Józefa Karska otrzymała mistyczne natchnienie, wzywające ją do stworzenia nowego zgromadzenia (tamże, s. 34). W tym czasie podupadła na zdrowiu, dlatego w towarzystwie matki rozpoczęła wędrowną kurację po znanych wówczas kurortach leczniczych. Przez Wrocław, Paryż i Pizę 1 listopada 1850 roku dotarła do Rzymu. Jej kierownikiem duchowym został zmartwychwstańca o. Hieronim Kajsiowicz. Ten surowy żołnierz z wielką szramą



źródło: youtube.com

na twarzy, uczestnik powstania listopadowego, okazał się człowiekiem o wrażliwej i poetyckiej duszy, ale też rozważnym organizatorem. Jak zauważa błogosławiona Marcelina Darowska, o. Hieronim był dokładnym przeciwieństwem Józefy Karskiej, lecz widziała w nim prawdziwego żołnierza Chrystusa (s. Sołtan M. A., *Matka*, 1982, s. 32). Dzięki współpracy Józefy z o. Kajsiewiczem jej dusza wypiękniała i stała się gotowa do podjęcia konkretnych kroków w celu utworzenia nowego zgromadzenia. Początkowo o. Hieronim był przeciwny temu pomysłowi, jednak potem przekonał się do tej idei, widząc w tym zamysł Boży. 7 maja 1851 roku Józefa Karska złożyła na ręce swojego spowiednika prywatne śluby czystości i posłuszeństwa.

W tym czasie miało miejsce

inne wydarzenie. Modląc się w bazylice Matki Bożej Większej, Józefa usłyszała dwukrotnie słowa Chrystusa: „Bądź moją!”. Na te słowa odpowiedziała: „Ach, Panie! Chcę być tylko Twoją! Weź mnie, weź!” (Kosyra-Cieślak H., *Krzyżami zdobyłeś moje serce*, 2002, s. 55). Boża opatrzność poprowadziła ją do Neapolu, gdzie poznała nowo utworzone włoskie zgromadzenie. Matka założycielka wprowadziła ją za kłauzurę i pokazała dokładnie cały klasztor, co wzbudziło w sercu Józefy ogromną radość.

Coraz głębsze życie wewnętrzne, godziny modlitwy i kontemplacji były dla duszy Józefy schronieniem od spraw tego świata. Pragnęła nieustannie trwać na modlitwie oraz kontemplacji, do czego miała nadprzyrodzoną łatwość i lek-

kość. Kiedy o. Kajsiewicz podsunął jej lekturę św. Teresy z Avila, Józefa odkryła, że przechodziła podobne stany. Te pragnienia i przeżycia odsunęły od niej plany tworzenia zgromadzenia, bo zbyt wielkie zaczęły jej się wydawać wszelkie ludzkie formalności. Tym razem jednak o. Hieronim uprzytomnił Józefie, że wolą Bożą jest powołanie do istnienia nowej wspólnoty zakonnej. Problemem do rozstrzygnięcia pozostawało, czy będzie to żeńska gałąź Zgromadzenia Zmartwychwstania Pana Naszego Jezusa Chrystusa, czy też niezależne zgromadzenie.

Kościół św. Klaudiusza w Rzymie stał się główną świątynią ojców zmartwychwstańców. Tam też często modliła się i korzystała z sakramentów Matka Józefa. W tym miejscu również powoli zaczęła rodzić się idea nowego zgromadzenia. Wśród polskiej emigracji rozeszła się wieść, że zmartwychwstańcy wraz z Józefą Karską zakładają nowe zgromadzenie. Zaczęły napływać kandydatki. Równocześnie nastąpił u Józefy rozwój śmiertelnej choroby, zaczęły narastać lęki i wątpliwości... Wśród tych wszystkich utrapień Boża opatrzność przysłała do Wiecznego Miasta Marcelinę Darowską.

Błogosławiona Marcelina Darowska trafiła do Rzymu z Francji. Jej życie zostało nazna-



źródło:unsplash.com

czono już dwiema tragediami, śmiercią męża i synka. W Paryżu poznała o. Aleksandra Jełowickiego, zmartwychwstańca, który ułatwił jej spotkanie z o. Kajsiewiczem w Rzymie. Wydarzenie okazało się znamienne w skutkach i było początkiem wspólnej duchowej wędrówki niepokalanek oraz zmartwychwstańców. Ojciec Hieronim Kajsiewicz zaproponował Marcelinie mieszkanie przy via Barberi, gdzie przyjęła ją Józefa Karska. Obie z tego spotkania wyniosły wiele. Okazało się, że choć odmienne, to jednak uzupełniały się. Od początku widać było, że matka Józefa będzie kontemplacyjnym fundamentem nowej rodziny zakonnej, Marcelina zaś duchem czynu i pracy wychowawczej. To właśnie błogosławionej matce Marcelinie (czego można się dowiedzieć ze spisanej na rozkaz spowiednika autobiografii) na modlitwie zostało dane to, co miało być szczególnym ry-

sem zgromadzenia – wychowanie dzieci. Energia i potrzeby chwili – wszak miała pod opieką nieletnią córkę – pchały Marcelinę do czynu i zadawania pytań, na które ani o. Kajsiewicz, ani panna Karska nie byli w stanie odpowiedzieć, gdyż nie mieli na to światła Bożego. Ten burzliwy okres był dla obu kobiet czasem duchowego oczyszczenia, wzrostu i rozeznawania, który zaowocował nie tylko wzajemną przyjaźnią, ale również głęboką, duchową więzią.

Józefa Karska od 1849 roku chorowała na gruźlicę. Teraz choroba szybko pustoszyła organizm wątłej kobiety. Ogromne cierpienia fizyczne opisywała w listach o. Hieronimowi, który w tamtym czasie został powołany na kapelana szpitala francuskiego, gdzie wybuchła epidemia tyfusu. Swoje bolesne doświadczenia nazywa Józefa „nowicjatem cierpienia” (tamże, s. 97). Ów nowicjat nie tyl-

ko dotyczył licznych cierpień fizycznych, ale określał przede wszystkim duchowy stan Matki Józefy. Zawsze pogodna, życzliwa i spokojna wydawała się w czasie swej bolesnej drogi rozdrażniona, oschła, a także zmęczona. Powoli wstępowała na swoją Gogotę.

Kiedy Marcelina po krótkim pobycie w Rzymie wróciła na Podole, próbując uporządkować sprawy majątkowe po zmarłym mężu, Józefa, nagłona jej listami, starała się nakreślić duchowość i kierunki zaangażowania nowej wspólnoty. Zarys wysłała w liście (27 stycznia 1856 r.) do Rozalii Darowskiej, krewnej Marceliny, deklarującej chęć przyłączenia się do tworzonej wspólnoty. Zadaniem nowej rodziny zakonnej miało być nie tylko wychowanie dziewcząt, ale także towarzyszenie duchowe osobom tego potrzebującym, jak również tworzenie miejsc kontemplacji, prowadzenie rekolekcji.

Szczególnym wydarzeniem dla Józefy Karskiej i Marceliny Darowskiej było ogłoszenie przez bł. Piusa IX dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny (1854 r.). W cieniu tej niezwykłej uroczystości oraz kontemplacji tajemnic życia Maryi Niepokalanej kształtował się maryjny charakter nowego zgromadzenia. Prawie trzyletnia rozłąka Mar-

celiny i Józefy – od 1854 r. do 1857 r. – była czasem intensywnej wymiany listów i ciągłej troski o ducha nowego zgromadzenia. Rok 1857 był o tyle znaczący dla wspólnoty, że Józefa Karska odwiedziła po latach Królestwo Polskie i Warszawę, zobaczyła obszar oraz możliwości pracy, jak również wyraziła pragnienie osadzenia nowej rodziny zakonnej w Polsce. Zachwycona tytaniczną pracą ojców kapucynów i za ich namową napisała do kapituły generalnej zmartwychwstańców, że to najlepszy czas, aby przybyć do Polski. Ci jednak, nieufni wobec politycznych zmian, odrzucili propozycję (tamże, s. 139). Po załatwieniu urzędowych i rodzinnych spraw Józefa wróciła do Rzymu, gdzie czekała na nią Marcelina Darowska. Spotkały się już w nowej siedzibie wspólnoty przy via Paolina. Choroba Józefy rozwijała się, a ona sama miała coraz mniej sił na organizowanie życia wspólnoty czy formowanie kandydatek. Bolesnie dawały o sobie znać problemy finansowe. Wszystkie te trudności nie uszły uwadze Marcelinie Darowskiej, która z bólem serca opuściła Rzym. Nie wiedziała jeszcze, że było to jej ostatnie spotkanie z Józefą Karską.

Droga cierpienia matki Józefy, jak i konieczność mierzenia się z trudnościami małej wspólnoty czy dźwiganie odpo-

wiedzialności przełożenia mocno wpłynęły na charakter pierwszej przełożonej. Kiedyś łagodna, delikatna, niezdecydowana, teraz konkretna, twarda, o pewnej sile woli. Cała zima między 1857 a 1858 rokiem to dla matki Józefy zmagania z chorobą, w czasie której praktycznie cały czas była przykuta do łóżka. Cierpienie fizyczne, którego doznawała, było tylko nikłym przejawem cierpienia wewnętrznych i kryzysów targających matką Józefą Karską. Ciężka choroba znaczyła ostatni etap jej życia i stawała się drogą na Kalwarię. Okres ten w swoich pismach nazywała czyścem, opisywała go w ten sposób: „Nie ma sroższego cierpienia, jak nie czuć Pana Jezusa Gospodarzem w sercu, którego był jedynym życiem (...) O jak trudno w podobnych chwilach oprzeć się rozpacz!” (List Matki Józefy Karskiej do Marceliny Darowskiej z 22.05.1859 r.). Stany mistycznych i duchowych pociech, poczucia stałej Bożej obecności odstąpiły po latach od Józefy, a zostały dane bł. Marcelinie, która ten stan mistycznego poczucia obecności Bożej niosła z przerwami przez 17 lat.

1859 rok to czas upragnionych ślubów zakonnych i obłóczyn. Odbyły się one 8 grudnia – w dniu patronki zgromadzenia. Stan zdrowia matki Józefy był coraz gorszy, a jej ostatnie wakacje w 1859 roku,

jak się okazało później, nie tylko nie przyniosły poprawy zdrowia, lecz nawet jeszcze je pogorszyły. Przyoblekając się w biały habit z niebieskim sznurem i składając śluby zakonne, matka Józefa przyjęła zawołanie od Jezusa Ukrzyżowanego, którego szczególnie miłowała od dzieciństwa. Ostatni rok życia upłynął pod znakiem udręki i cierpienia. Od połowy lipca Józefa nie wstawała już z łóżka, ale czuła, że proces oczyszczania jej duszy ciągle trwa, dlatego poddawała się woli Bożej z niezwykłym posłuszeństwem. We wrześniu 1860 roku przyjęła sakrament namaszczenia chorych z rąk o. Hieronima Kajsiewicza.

Ostatnie dni jej życia były dramatyczne. Odleżyny pokrywały całe ciało, sprawiając ból przy każdym ruchu. Szalejąca gruźlica niszczyła kości i układ pokarmowy. Smutkiem ostatnich chwil jej życia była nieobecność Marceliny, związana z załatwianiem na Podolu spraw rodzinnych i majątkowymi. To jednak właśnie w jej ręce matka Józefa i o. Kajsiewicz przekazali przełożenie i kierownictwo małej wspólnoty. W ciągu ostatnich tygodni życia Józefa powtarzała: „O gdyby tu była moja Marcelina – byłabym całkiem spokojna, bo jak mi dał Pan pojąć zgromadzenie, tak ona wszystko doskonale wykona!” (Archiwum Sióstr Niepokalanek

Bł. Marcelina Darowska



źródło: wikimedia.org

w Szymanowie, sygn. P.3.2.II 4 Siostry Niepokalanego Poczęcia – Józefa Karska). Umierała z wiarą w opiekę Bożą nad nią i przekonaniem, że zgromadzenie się rozwinie. Świadomość, że jest jedynie bardzo niedoskonałym narzędziem sprawczym przeznaczonym do zainicjowania dzieła, tkwiła w niej od dawna i znalazła wyraz w znamiennych słowach wypowiedzianych kilkanaście miesięcy wcześniej: „Mam przeczucie, że ja kiedyś zniknę w zgromadzeniu, jakby mnie wcale nie było. Założycielką i początkiem zgromadzenia będzie Marcelina” (tamże). Miała świadomość, że jest jedynie ziarnem rzuconym... Słowa te zostały wypowiedziane bez

goryczy. Matka Józefa Karska zmarła całkowicie zjednoczona z Chrystusem w dniu 11 października 1860 r. w Rzymie. Została pochowana w kościele św. Klaudiusza, który wówczas należał do zmartwychwstańców.

Po śmierci Józefy Karskiej bł. Marcelina Darowska przełożyła zgromadzenie i dom generalny do Jazłowca. Dwadzieścia lat później kościół opuścili zmartwychwstańcy. Matka Józefa Karska żyła w pamięci sióstr, została zapamiętana jako ta, która położyła fundament cierpienia pod nowe, Boże dzieło. Wirry historii i przeznaczeń złożyły ster prowadzenia zgromadzenia w ręce matki Marceliny Darowskiej na 50 lat. Przez

dziesiątki lat żadna z kolejnych przełożonych generalnych nie miała możliwości nawiedzenia Wiecznego Miasta i grobu matki Józefy. Po latach, w roku 1999, staraniem przełożonej generalnej sióstr niepokalanek, matki Maciei, odnaleziono (dzięki analizie korespondencji prowadzonej między o. Piotrem Semenemką a bł. Marceliną Darowską) kryptę w podziemiach kościoła św. Klaudiusza, w której spoczęła Józefa Karska. Doczesne szczątki zostały sprowadzone z Rzymu do Szymanowa, gdzie spoczywają do dzisiaj.

Historia Józefy Karskiej pokazuje niezwykle duchowe więzi między wieloma świętobliwymi duszami. Polska, posiadająca ogromne mistyczne dziedzictwo, nie odkryła jeszcze wielu duchowych skarbów. Poszukiwania mistycznych śladów w polskiej hagiografii zaprowadziły mnie do kolejnej pięknej osoby, która uczy nas czułości i wrażliwości na Bożą wolę. W końcu nie ma innej drogi do szczęścia jak pełnić wolę Boga.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło: pixabay.com

Czyściec, czyli pomiędzy „już” i „jeszcze nie”



Piotr Bogdanowicz

Jeszcze dobrze nie zgasły znicze zapalone na cmentarzach, a już rozpoczął się przedświąteczny szal i gorączka zakupów. Jednak trochę na przekór owej „magii świąt”, do której chcą nas przekonać witryny sklepowe, chciałbym, abyśmy jeszcze przez chwilę zastanowili się nad prawdą wiary, która w minione dni zadumy nad śmiercią i życiem wiecznym była odmieniana chyba przez wszystkie przypadki.

Czyściec, bo o nim mowa, to prawda wiary wbrew pozorom wciąż żywa, aktualna i budząca jednocześnie wiele pytań, z których część wciąż pozostaje bez odpowiedzi. Czym jest czyściec, gdzie można znaleźć źródła, z których wypływa nauka o nim, czy jest miejscem, czy raczej stanem, co mówi na jego temat

oficjalne nauczanie Kościoła? Spróbujmy odpowiedzieć na te pytania.

Biblijne podstawy

W tym właśnie miejscu należy jasno stwierdzić, że nie ma w Piśmie Świętym fragmentów, które bezpośrednio i wyraźnie

mówią o czyścicu, o tym, że istnieje i czym tak naprawdę jest. Co nie znaczy, że nie znajdziemy tam treści mówiących o nim pośrednio. Owszem, są takie, lecz jest ich bardzo niewiele. Tak naprawdę oprzeć się można na dwóch lub trzech fragmentach, z których Kościół pouczony przez Ducha Świętego odczytał



źródło:pixabay.com

prawdę o istnieniu czyśćca.

Pierwsze korzenie nauczania o czyśccu znaleźć możemy jeszcze w pierwszym wieku przed Chrystusem. W Drugiej Księdze Machabejskiej (12, 32–46) czytamy relację o tym, jak u zabitych Żydów znaleziono pogańskie amulety, przez co ich śmierć tłumaczono jako karę za przekroczenie zakazu bałwochwalstwa. Podjęto wtedy błagalną modlitwę oraz posłano do Jerozolimy, aby złożyć za ich grzech ofiarę przebłagalną, aby został on całkowicie wymazany w dniu zmartwychwstania. Autor natchniony pochwała to zachowanie, widząc w nim silną wiarę w zmartwychwstanie. Wywnioskować stąd można, o czym jednak sam fragment nie mówi, że wyobrażano sobie i wierzano w jakiś „międzystan”, gdzie dusze ludzi, których życie było dobre, lecz nie wolne

od grzechów i którzy zginęli w obronie ojczyzny, wyczekiwały chwały nieba. Jednocześnie pozwalał on, aby żyjący na ziemi mogli pomóc oczekującym duszom w osiągnięciu szczęścia wiecznego.

Drugi tekst pochodzi z Nowego Testamentu, z Pierwszego Listu do Koryntian: „[...] także jawne się stanie dzieło każdego: odstoni je dzień [Pański]; okaże się bowiem w ogniu, który je wypróbuje, jakie jest. Ten, którego budowla wzniesiona na fundamencie przetrwa, otrzyma zapłatę; ten zaś, którego dzieło spłonie, poniesie szkodę: sam wprowadzie ocaleje, lecz tak jakby przez ogień” (1 Kor 3,13–15).

Choć w historii egzegezy pojawiało się wiele interpretacji tego fragmentu, to jednak za najważniejszą uznano tę, według której Nowy Testament podaje tutaj jakąś początkową

doktrynę stwierdzającą, że dla tych, których życie na ziemi nie pozwala na całkowite i wieczne oddzielenie od Boga, jest dostępne oczyszczenie po śmierci. Często w argumentacji za istnieniem czyśćca przywoływany jest również fragment z piątego rozdziału Ewangelii według św. Mateusza, gdzie Chrystus mówi znane chyba wszystkim słowa: „Pogódź się ze swoim przeciwnikiem szybko, dopóki jesteś z nim w drodze, by cię przeciwnik nie wydał sędziemu, a sędzia dozorczy, i aby nie wtrącono cię do więzienia. Zaprawdę powiadam ci: Nie wyjdiesz stamtąd, dopóki nie zwrócisz ostatniego grosza” (Mt 5, 25-26).

Ojcowie Kościoła (m.in. Tertulian) również w tym fragmencie widzieli wyraźne wskazanie na oczyszczającą rzeczywistość czyśćca. Poza tymi wymienionymi powyżej fragmentami są jeszcze takie, które w jakiś sposób próbuje się łączyć z dogmatem o czyśccu. Jak można jednak zauważyć, kwestia ta nie jest jasno sprecyzowana zarówno przez Stary, jak i Nowy Testament. Wręcz przeciwnie, przez użyty do jej opisu język symboli i niejednoznaczność pozostaje ona kwestią otwartą, nierozstrzygniętą. Yves Congar w książce Chrystus i zbawienie świata napisał, że Pismo Święte przypuszcza oraz podsuwa istnienie czyśćca, a także mówi



źródło: pixabay.com

o tym, że możemy być realną pomocą dla zmarłych w drodze do pełni zbawienia.

Czyścić w Tradycji

Ojcowie Kościoła dość chętnie podejmowali temat oczyszczenia duszy po śmierci. Co więcej, już w drugim wieku dostrzec można dwa nurty w rozumieniu i wyjaśnianiu natury czyśćca w teologii. Nikogo oczywiście nie zdziwi, że nurty te przebiegają zgodnie z podziałem ówczesnej myśli teologicznej na wschodnią i zachodnią. Chyba najważniejszymi reprezentantami tych nurtów są na Zachodzie Tertulian (zm. po 220 r.), a na Wschodzie Klemens Aleksandryjski (zm. przed 215 r.). Ten pierwszy zapamiętany został przede wszystkim dzięki spisanej najprawdopodobniej przez niego historii męczeństwa św. Perpetuy, która widzi we śnie

swojego przedwcześnie zmarłego brata Dinokratesa. Błady, zabrudzony, z otwartą raną i spragniony tkwi w wielkim upale tuż przed ogromnym zbiornikiem z wodą, z którego nie jest w stanie się napić. Perpetua intensywnie modli się za zmarłego brata, po czym w kolejnej wizji widzi go już w pełni zdrowego, czystego, pięknie ubranego i szczęśliwego, czerpiącego wodę ze zbiornika. Tertulian, opierając się na fragmencie z Ewangelii Mateusza (o czym wyżej było już wspomniane), stwierdził, że czas pomiędzy śmiercią a zmartwychwstaniem jest czasem więzienia, kiedy dusza ma możliwość spłacić dług do ostatniego grosza i stać się gotową na zmartwychwstanie.

Zasadnicze podwaliny pod zachodnie i współczesne nam rozumienie czyśćca położył św. Cyprian z Kartaginy (zm. 258 r.). Oprócz tego, że świadom był

istnienia wiecznego zbawienia oraz wiecznego potępienia, to również ogromny niepokój budzili w nim ludzie dobrej woli, przeciętni chrześcijanie, za słabi, by poddać się męczeństwu w czasie prześladowań, którzy po wyparciu się wiary chcieli powrócić na łono Kościoła, lecz np. nie było im to dane lub nie zdążyli tego w pełni uczynić. Choć w bezpośrednim ich złączeniu z Chrystusem przeszkadza ich małoduszność i zaparcie się wiary, to jednak są oni zdolni do oczyszczenia. Cyprian stwierdza, że kościelna pokuta istnieje nie tylko na tym, ale także na tamtym świecie, przez co mogą oni ją podjąć lub kontynuować także po śmierci.

Nieco inne spojrzenie na kwestię oczyszczenia po śmierci dostrzec możemy u Klemensa Aleksandryjskiego, który w swoim nauczaniu czerpał m.in. z filozofii greckiej oraz idei gnostyckich. Mówił o pośmiertnym ogniu oczyszczającym (nawiązując tym samym do cytowanego wyżej fragmentu Pierwszego Listu do Koryntian św. Pawła) i o oczyszczeniu, które tak naprawdę zaczyna się już w momencie naszego chrztu, a także dosięga wieczności. Tym sposobem obejmuje ono cały dramat życia chrześcijańskiego oraz towarzyszące mu napięcia.

Jednak podwaliny pod współczesne rozumienie czyść-



źródło: wikimedia.org

ca na Wschodzie położył Jan Chryzostom (zm. 407 r.). Mówiąc najprościej, wszystkich obowiązuje międzystan pomiędzy śmiercią i zmartwychwstaniem, który dla każdej duszy indywidualnie będzie zawierał różne stopnie zbawienia i niedoli, zależnie od stanu duszy w momencie przejścia przez śmierć (od jej ziemskiego uświęcenia i usprawiedliwienia). Jak opisze to Joseph Ratzinger w *Śmierć i życie wieczne*: „Święci wstawiają się za swoimi żyjącymi na ziemi braćmi i są upraszani o wstawiennictwo; żyjący na ziemi mogą przez Eucharystię, modlitwę i jałmużnę przynieść

duszom przebywającym w Hadesie »odpocznienie i orzeźwienie«, nie dostrzega się natomiast w »utrapieniu« oczyszczającego czy ekspiacyjnego cierpienia, któremu w ten sposób miano by zaradzić”.

Jak Kościół dziś rozumie czyściec?

Katechizm Kościoła Katolickiego mówi: „Ci, którzy umierają w łasce i przyjaźni z Bogiem, ale nie są całkowicie oczyszczeni, chociaż są już pewni swego wiecznego zbawienia, przechodzą po śmierci oczyszczenie, by uzyskać świętość konieczną do wejścia do radości nieba” (kan. 1030).

Jak jednak współczesna teologia próbuje wyjaśnić prawdę o czyśćcu? Przede wszystkim odrzucone zostało statyczne rozumienie czyścica jako miejsca, w którym dusze smagane są ogniem oczyszczającym. Również sama koncepcja ognia oczyszczającego, podobnego w swoim działaniu do płomieni piekielnych, została odrzucona, a w zasadzie jest dziś zupełnie inaczej rozumiana. Na czyściec należy patrzeć przez osobę Chrystusa. Jest to stan, w którym dusza wchodzi w swój ostateczny los w wieczności, w Jego (Chrystusa) objawioną rzeczywistość i tym samym jest poddana oczyszczającemu

działaniu obecności samego Chrystusa-Sędziego. Gdy chodzi o to, czy istnieje tam czas, odwołam się znów do Josepha Ratzingera, który w cytowanej już książce napisał: „Przemieniająca »chwila« tego spotkania wymyka się ziemskim miarom czasu – nie jest wieczna, lecz jest przejściem, jednak kwalifikować ją jako całkiem krótką, czy długą według miar czasu przyjętych z fizyki byłoby naiwnością i w istocie zupełnie tym samym. Jej »miara czasu« leży w głębi przepaści ludzkiej egzystencji, która zostanie przemierzona i przepalona; przeliczanie takiego »czasu egzystencjalnego« na czas tego świata nie docenia szczególności ludzkiego ducha w jego odniesieniu do świata i w jego odróżnianiu się od niego”.

Czyściec to proces przemiany, który otwiera człowieka na Boga i uzdalnia do pełnej jedności świętych. Kluczowe jest w tej kwestii zrozumienie, że miłość, będąca silniejszą niż śmierć, daje nam możliwość pomagania tym, którzy uprzedzili nas w drodze do wieczności.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:unsplash.com

Ry(m)cerze Boga



Mateusz Bednarek

Nie wiem, czy ktoś z Was uratował kiedyś życie. Przykładowo, poprzez udzielenie pierwszej pomocy, ściągnięcie kogoś z parapetu okna czy torów. Jeśli nie, to z pewnością niejednokrotnie słyszeliście o takich przypadkach. Ludzie, którzy to zrobili, są cichymi bohaterami – czasem któryś z nich przez przypadek zdobędzie rozgłos, ale wiecie, jak jest – przeważnie media o nich milczą. Dla odmiany, ja chciałbym nagłośnić ten temat i zaprosić na podróż po dźwiękach, które niosą ratunek, nadzieję, życie. Ratownikami stają się ludzie, którzy zajmują się ewangelizacją poprzez muzykę. Skupię się jednak na rapie, ponieważ ten gatunek muzyki zyskuje coraz większą popularność, a więc i zasięg. Zapraszam Cię, byś znalazł się dziś w zasięgu tego tekstu, a później w zasięgu wersów nawijanych przez ludzi, którzy chcą głosić Dobrą Nowinę.

Rap czy hip-hop?

Otóż i jedno, i drugie, a właściwie jedno w drugim, lecz ktoś mądry powiedział kiedyś, że jeśli nie wiadomo od czego zacząć, warto zacząć od począt-

ku. Tak zrobimy. Rap narodził się w latach 70. XX wieku w Stanach Zjednoczonych. Największą popularnością cieszył się wśród czarnoskórych mieszkańców tego kraju. Najprościej mówiąc, rap to wypowiadanie i rymowa-

nie słów w rytmie podkładu muzycznego. Brzmi prosto? Tak, ale pozostaje takim jedynie w teorii. Muzyka rap jest elementem bardzo dziś popularnej kultury hip-hopu, która również narodziła się w latach 70. poprzedniego



źródło:unsplash.com

Katechizacja czy ewangelizacja?

Mamy na polskim rynku artystów, których warto słuchać. Są tacy, którzy ewangelizują poprzez swoją twórczość. No właśnie: ewangelizują. Na początku przyjrzymy się rozróżnieniu owych dwóch pojęć – katechizacji i ewangelizacji. W Katechizmie Kościoła Katolickiego czytamy: „Świeccy wypełniają swoją misję prorocką również przez ewangelizację, »to znaczy głoszenie Chrystusa... zarówno świadectwem życia, jak i słowem«. W przypadku świeckich »ta ewangelizacja... nabiera swojego charakteru i szczególnej skuteczności przez to, że dokonuje się w zwykłych warunkach właściwych światu« (KKK 905).

„Zwykłe warunki właściwe światu” to nic innego jak ewangelizacja życiem. Człowiek wykonujący jakiegokolwiek zawód może mówić o Chrystusie. Raper to także pewien rodzaj profesji, tak jak piłkarz, siatkarz czy koszykarz. Każdy może ewangelizować. Zwróćmy uwagę na to, co KKK mówi o katechizacji: „W samym centrum katechezy znajduje się przede wszystkim Osoba: Jezus Chrystus z Nazaretu, Jednorodzony Syn Ojca... który cierpiał i umarł za nas i który teraz, ponieważ zmartwychwstał, żyje z nami na zawsze... Katechizować... to odkry-

stulecia. Rozbijmy więc hip-hop na pięć elementów, z których się składa. Są to: DJ-ing, b-boying, graffiti, beatbox i rap – niektórzy wymieniają także wiedzę, która powinna współgrać z powyższymi.

Historii koniec, wróćmy do teraźniejszości. Zakres tematyczny tego gatunku muzyki jest przeogromny. Rapować można praktycznie o wszystkim, tak jak rozmawiać, bo nawijanie to w pewnym sensie melorecytacja danego – nie bójmy się tego słowa – utworu. Mimo że rap należy do kultury popularnej, masowej, stanowi on pewną formę sztuki. Treść kawałków niestety często wyjęta bywa „z rynsztoka”, by zostać wysuszoną i sprzedawaną jako towar świeży, „nieśmigany”. Na szczęście są twórcy, którzy odchodzą od, generalizując, zgniłego świata utylitaryzmu oraz materializmu i starają się

przekazać słuchaczowi coś więcej. Tutaj również pojawia się małe zastrzeżenie – owo „coś więcej” nie musi od razu oznaczać czegoś dobrego. Cytując św. Pawła: „Wszystko badajcie, a co szlachetne – zachowujcie! Unikajcie wszystkiego, co ma choćby pozór zła” (1 Tes 5, 21-22).

Wyjaśnione, i to już ponad 2000 lat temu. Biblia jest ponadczasowa, tak jak Bóg, który dyktował te święte teksty. Dobrze jest mieć świadomość, że wybierając rap, wybieram w pewnym sensie również hip-hop, bo muzyka to część kultury. Skłaniając się ku konkretnemu muzykowi, wybierajmy mądrze, bo odtwarzając dane utwory w naszych głośnikach, „przemycamy” do swojej codzienności w pewnej części poglądy, życie i elementy osobowości artysty. Warto o tym pamiętać.

wać w Osobie Chrystusa cały odwieczny zamysł Boży, który w Nim się wypełnił. To dążyć do zrozumienia znaczenia czynów i słów Chrystusa oraz znaków dokonanych przez Niego” (KKK 426).

Ewangelizacja to głoszenie Chrystusa poprzez świadectwo życia i słowa, a katechizacją nazywamy odkrywanie w Chrystusie wszelkiego sensu. Gdyby chcieć porównać zestawienie pojęć katechizacji i ewangelizacji z rapem czy kulturą hip-hop można dostrzec, że istnieją pewne podobieństwa. Rap jest częścią hip-hopu, a katechizacja nie może istnieć bez ewangelizacji. Najpierw trzeba usłyszeć o Chrystusie, by móc szukać w Nim wszelkiego sensu. Podobnie jest z muzyką. Rap jest częścią kultury, a więc również jej naturalną składową. Jeśli chce się zagłębić w rap, dociera się źródła, korzeni, wśród których znajduje się hip-hop.

Przenieśmy powyższe porównania na grunt konkretnej twórczości. Raperzy starają się pokazać Chrystusa w swojej muzyce, bo wcześniej doświadczyli działania Boga w życiu. Ciężko nawijać o czymś, czego się nie przeżyło i o czym się tylko czytało. Poza tym nawrócenie i życie z Bogiem widać w codzienności. Praktykowana wiara ma wpływ na każdy aspekt naszego życia. Tutaj świetnie widać dwie składowe ewangelizacji, czyli słowo i świadectwo życia. Słowo wypowiedziane w trakcie nawijania łączy się ze świadectwem życia, czyli sposobem postępowania na co dzień. Dobry przykład najlepiej przyciąga i inspiruje. Poparcie go odpowiednimi słowami wzmacnia przekaz.

Chrystus w codzienności

To właśnie poprzez określony styl życia, zobrazowany w słowach, które mają rzeczywi-

ste odzwierciedlenie w rzeczywistości, katolicy mogą pokazać Chrystusa zarówno ludziom pozostającym daleko od Niego, jak i sobie nawzajem. W kawałku Idę za Nim autorstwa Hereisa i WZN, raper nawija: „Idę za Nim, idę, idę za Nim, bo za mocno świat mnie już poranił”. Chrystus jest najpiękniejszą alternatywą dla świata i cierpienia, które świat proponuje.

Przechodząc przez ulice osiedlowych brzmień, nie sposób ominąć kieleckie klimaty, a wraz z nimi ksywkę Tau. Raper, znany wcześniej jako Medium, został wyrwany ze szponów szatana i śmierci, o czym sam nawija. W jednym ze swoich utworów rymuje:

*„Chciałbym móc odnaleźć Cię
Zanim Cię odnajdzie śmierć
Bo byłem kiedyś już na dnie
A On z niego wyciągnął
mnie, Panie!” (Brama – Tau)*

Chrystus wyciąga z bagna. Przypadki nawróconych muzyków ukazują miłosierdzie Boga i jego pragnienie dotarcia do wszystkich. Poprzez łaskę nawrócenia i talent do rymowania, który artyści otrzymali od Boga, mogą oni pokazywać słuchaczom drogę, którą sami przeszli, inspirować ich do szukania Jezusa, a przez to przemieniać ich życie. Zapoznajcie się proszę z poniższym fragmentem świa-



źródło:unsplash.com

dectwa Bartka Krakowiaka, zamieszczonym w elektronicznym wydaniu Bielsko-Żywieckiego tygodnika „Gość Niedzielny”. Autorką jest P. Urszula Rogólska, a tytuł tekstu jest bardzo wymowny – Nigdy w życiu cię nie zostawię.

„Obok mojego bloku jest kościół. Spojrzałem tylko na ten kościół, wszedłem do mieszkania i zasnąłem na podłodze. Wstałem po kilku godzinach. W pokoju było otwarte okno, a w mojej głowie jedna myśl: skacz, skacz, skacz. Czułem, że ktoś mnie ciągnie do tego okna i nie miałem żadnych barier, żeby skoczyć. Dzięki Bogu byłem uzależniony od telefonu, w sumie to chyba nadal jestem. I wtedy zobaczyłem powiadomienie, że taki raper Tau (chłopak, który się nawrócił parę lat temu i od tamtego czasu poprzez muzykę nawraca ludzi) dodał utwór: Jestem z Tobą. Ja to odpaliłem i usłyszałem takie słowa – Tau w pierwszej osobie, jako Jezus Chrystus, nawija – o tym, że jest obok mnie, że mnie nie zostawił, że jest ze mną w depresji, w samotności, że jest w tym wszystkim przy mnie. Może się to wydawać pyszne, ale ja wiem, że to było napisane specjalnie dla mnie przez samego Boga. W dniu moich urodzin, w dniu, gdy kilka godzin wcześniej krzychałem do Boga, że mnie zostawił, że jestem sam, On mówi mi,

że jest obok mnie. Wstałem i zamknąłem okno”.

Nie jest to zachęta do słuchania konkretnego rapera, chociaż jego twórczość i działalność jest godna polecenia. Warto zwrócić uwagę, jak wielką moc ma Słowo. Pismo Święte naucza: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i BOGIEM było Słowo” (J 1,1) – coś niesłychanego! Bóg jest Słowem. Warto więc zwracać uwagę na to, co mówimy. Słowa mogą zarówno służyć ku zbudowaniu człowieka, ale jak również zrujnować całe życie. Powyższe świadectwo wskazuje jednocześnie, jak bardzo Bóg troszczy się o każdego z nas. „U was zaś nawet włosy na głowie wszystkie są policzone” (Łk 12,7). Warto zwrócić uwagę na wartość, którą ma słowo skierowane przez konkretnego artystę. Muzyka może bowiem zarówno przekazywać Dobrą Nowinę, dawać światło, życie i nadzieję w Chrystusie, jak również niszczyć, siać zamęt, chaos, niepokój, grzech, śmierć. Dzięki Bogu mamy wolny wybór – dar, z którego powinniśmy mądrze korzystać.

Jezus naszym wspólnymi mianownikami

Wolny wybór, dzięki któremu zawsze jesteśmy w stanie decydować, może prowadzić zarówno do dobra, jak i do zła. Tak

jak z internetem, prawda? Mogę dzięki niemu słuchać konferencji wartościowych ludzi, albo oglądać strony pornograficzne. Kiedy Jezus jest wspólnym mianownikiem całego życia, dylematy dotyczące wyborów przestają istnieć. Miłość Boża jest wszechpotężna.

Miłość, wolność, miłosierdzie, przebaczenie, pokój. Jak widzicie, Chrystus ma do zaoferowania wiele, ale przede wszystkim – życie wieczne. Tak bardzo nas kocha, że posługuje się przeróżnymi sposobami, byśmy wreszcie rzucili się w Jego ramiona i oddali Mu każdy grzech i słabość. Wtedy On nam przebacza i zaprasza nas do swojego królestwa. To On wychodzi z inicjatywą, a my możemy Mu odpowiedzieć dzięki Jego łasce oraz miłości. Nie wiem jak Wy, ale ja chciałbym mieć takiego Ojca. Wiecie jednak, co jest najlepsze? Mam. Ty też.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:wikimedia.org

Trzej Królowie – historia prawdziwa?



Jan Borowski

Wspomnienie Pokłonu Mędrców jest uważane za jedno z najstarszych świąt chrześcijaństwa. Razem z Bożym Narodzeniem, Chrztem w Jordanie oraz Weselem w Kanie Galilejskiej celebrowano je pod wspólną nazwą świąt Epifanii, czyli Objawienia Pańskiego. Podobno wspominał o tym w swoich pismach już Klemens Aleksandryjski (zm. 212 r.), choć inni wskazują na źródła dopiero z roku 354. Mimo tak daleko sięgających korzeni, nie ma dokładnych informacji na temat tego kim byli, skąd przybywali ani jak się nazywali. Jedyne źródło to krótki fragment Ewangelii według św. Mateusza.

Mimo to, tradycja święta Trzech Króli jest niezwykle bogata. Już w średniowieczu 6 stycznia stał się dniem licznych i podniosłych obchodów. Oprócz znaczenia religijnego uroczystość niosła ze sobą rów-

nież znaczenie, które dziś być może nazwano by propagandowym – władcy wykorzystywali je bowiem do podkreślenia swojej pozycji, swego namaszczenia i wybrania przez Boga, czego wyraz odnaleźć da się w sztu-

ce. Jako biblijnych królów, na mozaikach przedstawiono już dwóch bizantyjskich cesarzy – Konstantyna i Justyniana. Ukazani zostali w scenie ofiarowania małemu Jezusowi Konstantynopola i świątyni Hagia Sophia.



źródło:unsplash.com

Podobne dzieła pochodzą także z wieków późniejszych. Przykładem niech będzie dyptyk z Wilton House, namalowany pod koniec XIV wieku na zamówienie króla Anglii Ryszarda II. Nie brak również polskiego akcentu. W kaplicy zamkowej w Lublinie można bowiem zobaczyć malowidło, na którym uwieczniono króla Władysława Jagiełłę, oddającego hołd Dzieciątku oraz Maryi.

Między prawdą a legendą

Tak szerokie rozpowszechnienie motywu pokłonu Mędrców ze Wschodu musiało się jednak przyczynić do mitologizacji całej historii, zwłaszcza że Ewangelia podaje niewiele konkretów. I tak, nierzadko kierując się treścią pism apokryficznych, przypisano im imiona, pochodzenie, ustalono ich liczbę. Wreszcie uczyniono z nich królów.

W niemieckiej Kolonii znalazły się nawet relikwie Trzech Króli. Z Mediolanu, w wyniku wojen ze zbuntowanymi państwami włoskimi, przywiózł je Fryderyk Barbarossa. Odkryć je zaś miała już w IV stuleciu święta Helena, ta sama, która odnalazła szczątki Krzyża świętego. Z tego powodu Kolonia na długie stulecia stała się, obok miejsc takich jak Rzym czy Santiago de Compostela, pielgrzymkowym centrum Europy. Przyczynił się do tego zwłaszcza fakt zajęcia przez muzułmanów Ziemi Świętej, przez co wyprawy w miejsca narodzin i działalności Jezusa stały się, jeśli nie niemożliwe, to na pewno bardzo niebezpieczne. O wiele łatwiej było natomiast udać się w podróż do Kolonii, aby tam doświadczyć namiastki tego, co wydarzyło się kiedyś w Betlejem. Przyczyniło się to do wzrostu duchowego oraz kulturowego miasta. „Tutaj, w pewnym sensie, Kościół

celebrowe przez cały rok Święto Objawienia Pańskiego” – powiedział podczas wizyty w Kolonii papież Benedykt XVI.

Jednakże współcześnie większość egzegetów skłania się ku pogładowi, że biblijny fragment opowiadający o pokłonie Mędrców należy traktować jako katechetyczne opowiadanie, a nie relację z autentycznych wydarzeń. „Dzieciństwo Jezusa w Ewangeliach, ale przede wszystkim w Ewangelii Mateusza, jest bardzo silnie zmitologizowane. (...) Próba powiązania ich [Mędrców] z jakimś konkretnym krajem, z konkretną rzeczywistością historyczną jest raczej skazana na niepowodzenie” – komentuje dr hab. Robert Wiśniewski z Instytutu Historycznego UW. Przyczynia się do tego brak źródeł (zarówno ewangelicznych, jak i nieewangelicznych), które potwierdzałyby, że rzeczywiście takie wydarzenie miało miejsce. Jedyne fragment znajduje się w Ewangelii wg św. Mateusza (2,1-12).

Znaki na niebie

Nie brak również i badaczy, którzy próbują dowieść autentyczności opisanych w Biblii wydarzeń. Zaliczyć można do nich choćby wielkiego astronoma, Johannesa Keplera. W roku 1603 ze swego obserwatorium w Pradze zaobserwował na

rozwieżdzonym niebie niezwykle jasny punkt. Jak ustalił, były to wzajemnie nałożone na siebie Saturn i Jowisz – dwie największe planety Układu Słonecznego. Z punktu widzenia obserwatora znajdowały się one w linii prostej, co fachowo nazywa się koniunkcją. Kepler od razu wpadł na pomysł, że tak właśnie mogła wyglądać opisana przez ewangelistę gwiazda betlejemska. Zaraz więc dokonał obliczeń, aby ustalić, że zjawisko jest niezwykle rzadkie i ma miejsce raz na około 800 lat. Udowodnił także, że w roku 7 p.n.e. było widoczne nie raz, lecz aż trzy razy – 29 maja, 1 października oraz 5 grudnia. Hipotezę tę prędko zakwestionowano. Nie wiadomo bowiem jeszcze wówczas o pomyłce, którą przy obliczaniu roku narodzin Chrystusa popełnił Dionizjusz. Po jej uwzględnieniu istotnie należy uznać, że Jezus urodził się między 8 a 4 rokiem p.n.e.

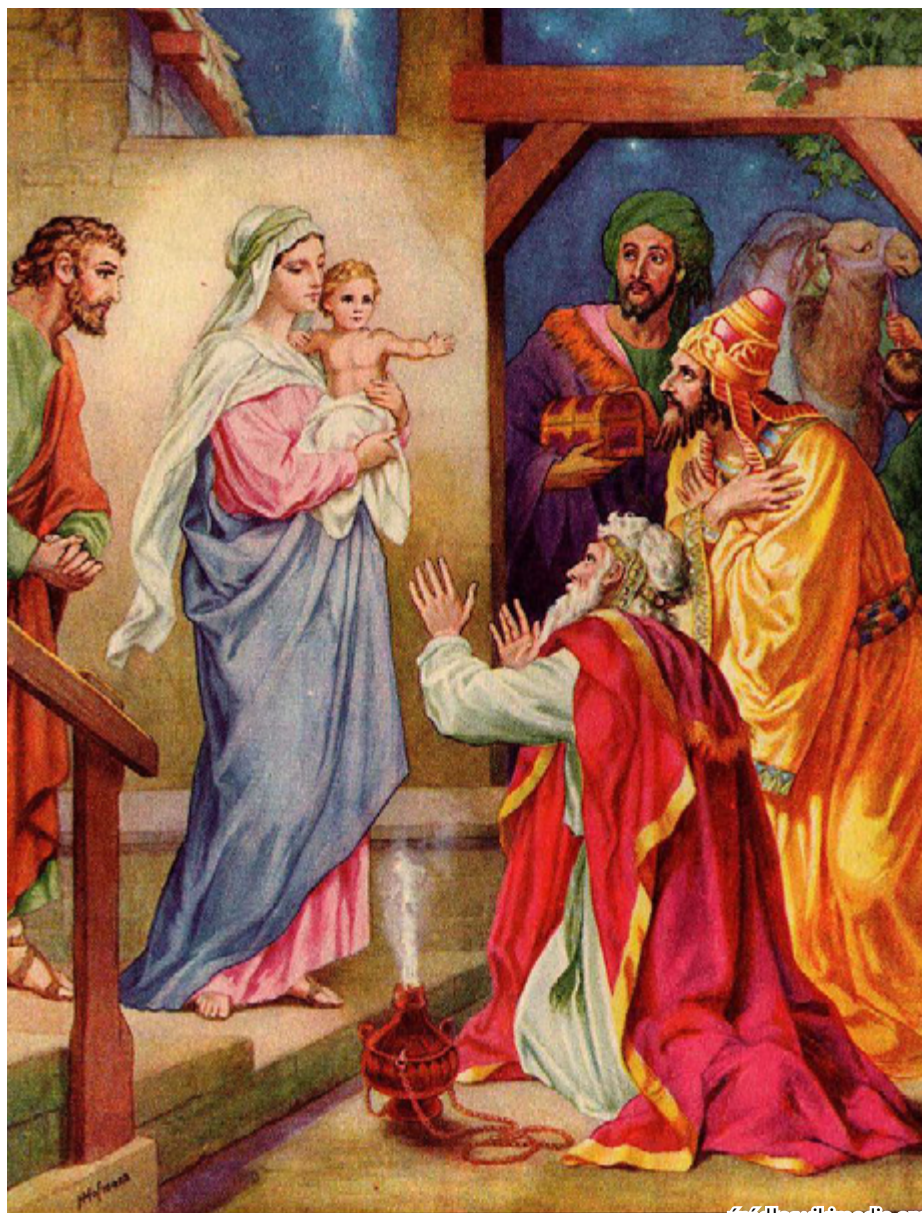
Na dodatek, według znalezisk archeologicznych i odczytanych neobabilońskich inskrypcji, pochodzących z obserwatorium w Sippar nad Eufratem, starożytni rzeczywiście zaobserwowali to zjawisko. W tym okresie miało zresztą miejsce wiele innych interesujących zjawisk astronomicznych. Potrójna koniunkcja Jowisza, Saturna i Marsa (6 r. p.n.e.), dwie jednoczesne koniunkcje Księżyca i Jowisza

oraz Marsa i Saturna (5 r. p.n.e.) czy wybuch supernowej, którego ślad utrzymywał się na niebie przez 76 dni. Choć niektóre z nich były zupełnie niewidoczne dla ziemskiego obserwatora, to jednak ich czytelność dla wykonujących pomiary astronomów była niepodważalna.

Narodowość

Jeśli więc przybysze ze Wschodu potrafili dostrzec te zjawiska, musieli posiadać pew-

ną wiedzę na temat sfer niebieskich. Sugeruje to zresztą samo słowo magoi użyte przez Mateusza do opisu Mędrców. Tłumaczy się je z greckiego na kilka sposobów. Może oznaczać członka perskiej kasty kapłańskiej, mędrca, maga, astrologa, tłumacza snów, a nawet oszusta i zwodziciela. Większość biblistów, którzy uznają historię Trzech Króli za prawdziwą, skłania się jednak do zdania, że byli właśnie perskimi kapłanami. Co ich do tego skłania?



źródło: wikimedia.org

Aby właściwie to zrozumieć, należy cofnąć się do szóstego wieku przed Chrystusem, kiedy to babiloński król Nabuchodonozor deportował z ojczyzny znaczną liczbę Żydów. I choć już pięćdziesiąt lat później Cyrus II, władca Persji, zajął Babilonię i pozwolił im na powrót do domów, wielu z tej propozycji nie skorzystało. Nie chcieli rezygnować z dobytku i wypracowanej pozycji. Wiele z nich, jak choćby biblijny prorok Daniel, zajmowało bowiem wysokie urzędy. W każdym razie na ziemiach perskich pozostała spora żydowska diaspora, której kultura nierzadko przenikała się z kulturą miejscowych.

O dziwo, Persom udzieliła się panująca powszechnie w kręgach Izraelitów atmosfera niecierpliwego oczekiwania na przyjście Mesjasza, o czym świadczą słowa inskrypcji z epoki, wspomniane przez włoskiego historyka, prof. Giulio Firpo: „Księżę dobra zatriumfuje nad złem dzięki sprzymierzeńcowi, wcielonej prawdzie, ten zaś miał narodzić się z dziewicy, do której nie zbliży się żaden mężczyzna”. Sprzymierzeńców – niezwykle podobieństwo – miał także doprowadzić do zmartwychwstania umarłych i dokonać sądu nad ludzkością.

Ponadto przytaczane wcześniej obliczenia astronomiczne doskonale zgrywają się z czasem

potrzebnym na podróż z Persji do Betlejem. Zakłada się, że musiałaby ona zająć Mędrców około półtora miesiąca. Zatem jeżeli faktycznie wyruszyli 1 października, w dniu, w którym doszło do drugiej koniunkcji, po dotarciu na miejsce 12 listopada ponownie dostrzegli to zjawisko. Być może właśnie na to wskazuje Mateusz, gdy pisze, że „gdy ujrzeli gwiazdę, bardzo się uradowali” (2,10).

Co, jeśli nie istnieli?

To właśnie mieli być ci, którzy znani są nam pod imionami Kacper, Melchior, Baltazar. Jednak nie dla wszystkich. Dla chrześcijan w Etiopii są to Hor, Karsudan oraz Basanater, gdy tymczasem dla Ormian – Kagpha, Badadakharida i Badadilma. Za Orygenesem najczęściej przyjmuje się, że musiało być ich trzech, tak jak trzy były podarunki. Lecz na katakumbowych malowidłach można zobaczyć dwóch, czterech, sześciu czy nawet dwunastu magów. Z kolei w Kościele koptyjskim żywa jest tradycja, która mówi, że do Betlejem wyruszyło aż sześćdziesięciu Mędrców.

Mimo licznych form nabożeństwa, jak pisanie na drzwiach domów liter „K + M + B”, organizowane w wielu miastach pochody, popularność motywu w sztuce, nie mamy żadnej pew-

ności co do autentyczności tych wydarzeń. Historycy przeważnie wręcz negują prawdziwość opowieści o Pokłonie Mędrców, przypisując jej jedynie wartość katechetyczną. Język, który autor zastosował opisując to wydarzenie, jest zupełnie inny niż ten, którym Ewangelia Mateusza posługuje się przy opisie wydarzeń historycznych. Przypomina on raczej styl midraszu, czyli popularnego w kręgach religii żydowskiej pouczającego opowiadania o zbawczym działaniu Boga.

Nie zmienia to jednak w żadnym wypadku sensu wiary. Nie zmienia sedna tej opowieści, nie kwestionuje, że Chrystus przyszedł, aby zbawić wszystkie narody. Nie oznacza nawet, że Biblia kłamie. Powinno jednak skierować uwagę wiernych na Jezusa. Tego, który prawdziwie przyszedł na świat i się mu objawia. Jest to przecież święto Objawienia Pańskiego, a nie Objawienia Trzech Króli. Oni być może pełnią jedynie rolę pouczającej metafory, On – przyszedł aby dać zbawienie całemu światu.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?

DROGA, Stacja XIII,
Oczekiwanie, Aleksandra
Pulińska



źródło: veraicon.com.pl

Prawdziwy Obraz



Z Dariuszem Nowakiem rozmawia Szymon Kozieja

Są różni i pochodzą z wielu stron Polski. Łączy ich w szczególności jedna rzecz – są artystami, a swoje niezwykłe talenty poświęcają Bogu. Chcieliśmy poznać ich bliżej, dlatego zaprosiliśmy do wywiadu współlidera krakowskiej diaspory Vera Icon, grafika i rzeźbiarza Dariusza Nowaka.

Szymon Kozieja: Czym dla ciebie jest Twoja wspólnota?

Dariusz Nowak: Dla mnie wspólnota jest przede wszystkim miejscem spotkania Boga w drugim człowieku i konfrontacji mojego postrzegania Boga z prawdziwym Jego obrazem zawartym w Piśmie Świętym.

SK: Jaką wspólnotą jest Vera Icon? Czym zajmują się jej członkowie?

DN: Vera Icon jest wspólnotą zrzeszającą artystów i ludzi kultury, będących jednocześnie katolikami. Wśród członków znajdziemy muzyków, grafików, malarzy, pisarzy, rzeźbiarzy, a także menedżerów sztuki i ludzi z nią sympatyzujących. Spotkamy również tych, którzy nie godzą się na „bylejakość” w przestrzeni sakralnej i dla których istotne jest to, jak wygląda przestrzeń wiary ukazana w sztuce.

SK: Skąd wzięła się nazwa grupy?

DN: Głęboko wierzymy, że nazwa została nam podsunęta przez Ducha Świętego, a znaczy dosłownie „prawdziwy obraz”. Bo właśnie taki – a nie wykrzywiony przez różne ideologie – obraz Boga pragniemy poznać i przekazywać dalej w godnej formie.

SK: Jak często się spotyka-

Icon, Katarzyna Fydrych



źródło:veraicon.com.pl

cie? Jak wyglądają spotkania we wspólnocie?

DN: Fundament wspólnoty stanowią spotkania organizowane w tzw. „małych grupach”, w których, oprócz rozważania Słowa Bożego i aktualizowania go w kontekście twórczości, dzielimy się własnymi doświadczeniami i spostrzeżeniami. Ko-

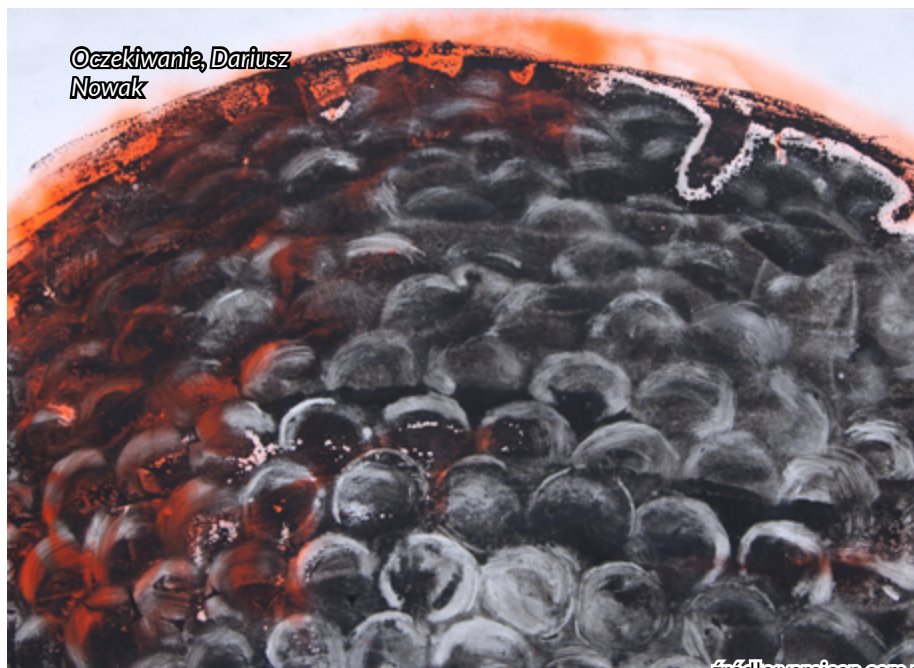
lejnym „twardym” elementem są rekolekcje Vera Icon mające charakter ogólnopolski, a więc skupiające wszystkich członków wspólnoty. Ponadto staramy się angażować i organizować wspólne projekty, jak chociażby wystawy, konferencje. Jako wspólnota stworzyliśmy już kilkanaście murali. Ważna, a rzekłbym nawet, że kluczowa, jest

także prywatna, osobista formacja duchowa członków, którą zwiędza wspólna modlitwa odmawiana codziennie przez wszystkich.

SK: Na czym polegają rekolekcje organizowane przez Vera Icon?

DN: Rekolekcje wypełniają przede wszystkim niezagospodarowaną w Kościele przestrzeń aktualizowania Słowa Bożego tak, by było przystępne dla artystów i ludzi kultury. Schemat rekolekcji jest dosyć klasyczny. Mamy Mszę Świętą, konferencję, grupy dzielenia, miejsce na wspólne dyskusje i czas wolny dla zacieśnienia relacji. Wyróżnia nas przede wszystkim tematyka religijna, której zagadnienia przedstawione są z myślą o katolickich twórcach i do nich skierowane.

Oczekiwanie, Dariusz Nowak



źródło:veraicon.com.pl

SK: Kto, gdzie i jak może do was dołączyć?

DN: Przede wszystkim zapraszamy wszystkie osoby związane ze sztuką, a właściwie ogólnie z kulturą, na nasze rekolekcje, które są otwarte dla wszystkich. Jeśli ktoś chciałby nas po prostu, niezobowiązująco poznać, to może odwiedzić nas także na spotkaniu jednej z małych grup. W Krakowie dotychczas spotykaliśmy się w śro-

Św. Franciszek, Ewa
Wróbel



źródło: veraicon.com.pl

dy, ale z nowym rokiem zmieniamy grafiki, więc zapraszamy do kontaktu przez stronę: www.veraicon.com.pl

SK: Czym dla was jest sztuka? Czy preferujecie jakieś konkretne style, techniki?

DN: Myślę, że dla każdego artysty pytanie o to, czym jest sztuka, jest pytaniem na całe życie i trudno na nie jakkolwiek odpowiedzieć. Jako wspólnota Vera Icon jesteśmy absolutnie

otwarcia na różnorodność stylową, techniczną oraz na każde możliwe środki wyrazu artystycznego.

SK: Jakie dzieła już zrealizowaliście?

DN: Przede wszystkim cyklicznie organizujemy wystawy naszych prac. Ostatnia wystawa – „Świadectwo” – odbyła się w Poznaniu z inicjatywy Papieskiego Stowarzyszenia Pomoc Kościołowi w Potrzebie. Skoń-

czyła się aukcją prac, a zebrane środki przekazane zostały na pomoc chrześcijanom w Pakistanie. Jak wcześniej wspomniałem, udało się nam wykonać już sporo murali. Jeden z nich, z motywem niebieskich ptaków, pojawił się w Łodzi z okazji jubileuszu 800-lecia zatwierdzenia Zakonu Dominikańskiego.

SK: Jaką rolę w życiu artysty pełni wiara w Boga? Czy jest On także pewnym rodzajem inspiracji?

DN: Wiara w Boga nie tyle dla artysty, co dla każdego katolika, pełni rolę kluczową i zasadniczą. To od Niego otrzymujemy talenty i dary, które są nie tyle powodem do dumy, co powołaniem, które winniśmy spełniać. Bez wątpienia każdą osobę żyjącą w relacji z Bogiem będzie On inspirował. Podobnie, a może nawet szczególnie, jest z artystami.

SK: Bóg zapłać za poświęcony dla nas czas!

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?

Prześladowania i kakure kirishitan w epoce Edo



Marceli Hejwowski

Dwa lata temu wywołał poruszenie film Martina Scorsese Milczenie. Przywołał on wydarzenia z początków XVII wieku, które miały miejsce w Japonii. Okrutne doświadczenia, których doznała katolicka wspólnota w tym kraju i początki kakure kirishitan, czyli „chrześcijan w ukryciu”. Wspólnoty bez kapłanów, która czekała w ukryciu na lepsze czasy.



źródło:pixabay.com

W roku 1597 umarła nadzieja na to, że uda się spokojnie przekonać do katolicyzmu większość Japończyków. W mieście Nagasaki z rozkazu ówczesnego shōguna, którym był Toyotomi Hideyoshi (japońskie słowa i nazwy własne podaję w transkrypcji J.C. Hepburna) odbyła się kaźń Pawła Miki i jego dwudziestu pięciu towarzyszy. Paweł Miki był japońskim jezuitą, który głosił Ewangelię po całej Japonii. Był aresztowany i poddany torturom, odmówił jednak wyparcia się wiary. W końcu trafił do więzienia w Nagasaki. Dwudziestu sześciu męczenników z Nagasaki zostało ukrzyżowanych. W czasie ukrzyżowania

odmawiali modlitwy, śpiewali psalmy. Co ciekawe, jedynie trzech z dwudziestu sześciu było członkami Towarzystwa Jezusowego. Resztę stanowili duchowni i świeccy członkowie zakonu św. Franciszka i prości świeccy.

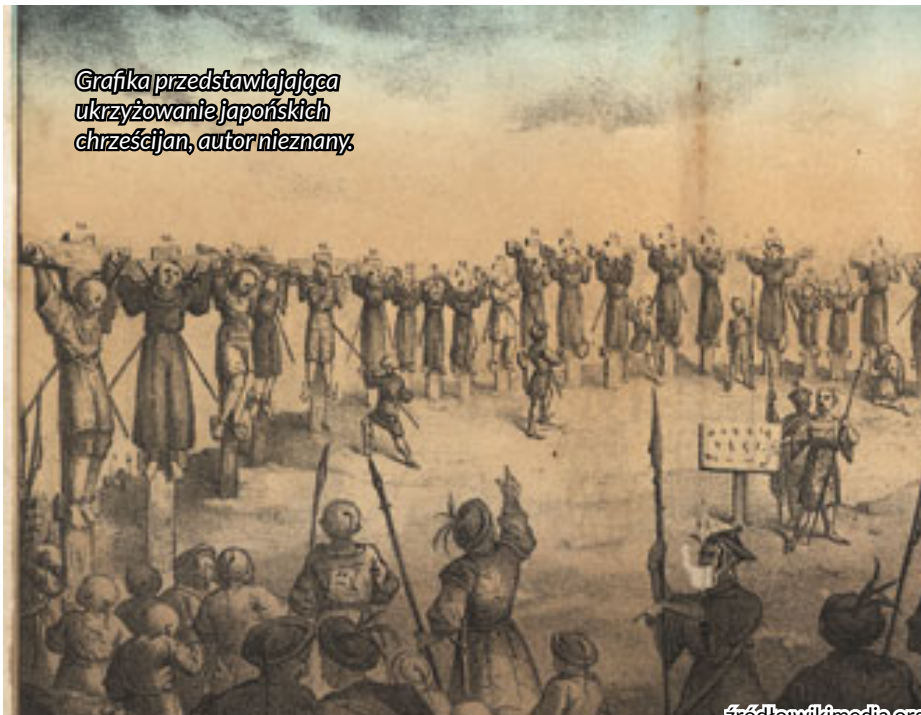
Fale prześladowań

Prześladowanie było reakcją na wzmocnienie pozycji jezuitów i ich konflikt ze świeżo przybyłymi franciszkanami. Hideyoshi i jego następca bali się też, że kapłani chcą nawracać lud, aby poddać Japonię wpływom hiszpańskim. Ród Tokugawów w XVII wieku opanował

Nagasaki, będące bazą jezuitów, a potem stopniowo pozbył się kapłanów z ziem zjednoczonego Kraju Wschodzącego Słońca. Jednocześnie krok po kroku zamykano Japonię na świat zewnętrzny. Ostateczny edykt o izolacji (tzw. sakoku) zapadł w 1639 roku. Do tego czasu księża albo zginęli w brutalnych prześladowaniach, albo uciekli.

Pośród wielu męczenników, z których Kościół z imienia zna około trzech tysięcy, byli też zdrajcy – ludzie, którzy dokonali apostazji, nie wytrzymując tortur. Jednym z takich apostatów był ojciec Cristóvão Ferreira, którego w filmie Milczenie gra Liam Neeson. Ojciec Ferreira

Grafika przedstawiająca
ukrzyżowanie japońskich
chrześcijan, autor nieznany.



źródło: wikimedia.org

był portugalskim jezuitą, który posługiwał w Kraju Kwitnącej Wiśni w latach 1609-1633. Wiary wyparł się po torturach w 1633 roku. Zamieszkał przy świątyni Zen i przybrał imię Sawano Chūan. Pisał krótkie pisma, między innymi przekazał Japończykom filozofię prawa naturalnego. Interesujący jest fakt, że kilku jezuitów wyruszyło go odszukać, aby dowiedzieć się, czy faktycznie wyparł się wiary. Wedle niektórych źródeł, stał na czele trybunału ścigającego i sądzącego chrześcijan. Złapani jezuita mieli mu powiedzieć, żeby nie hańbił ich propozycją odwrócenia się od wiary, bo nie są tchórzami. Ferreira miał wówczas uciec, a po złapaniu około 1650 roku – wyznać wiarę przed sądem i zginąć jako męczennik. Czy tak było faktycznie? Inne źródła jedynie wspominają, że zmarł w 1650

roku w Nagasaki.

Omawiając temat prześladowań w Japonii, mówiąc o męczennikach i apostatach, należy pamiętać, że Japończycy byli biegli w torturowaniu i zabijaniu.

Katakumby na miarę japońskich możliwości

Szacuje się, że w XVII wieku w Japonii zginęło na skutek prześladowań około dwustu tysięcy ludzi. Jednakże nie zdołały one całkiem wykorzenić wiary chrześcijańskiej. W ukryciu pozostawali kakure kirishitan. Mieli oni możliwość jedynie udzielać chrztu, modlić się różańcem, powtarzać prawdy wiary. Wiarę praktykowali albo prywatnie, po domach, albo publicznie, pod osłoną obrzędów shintō. Często wizerunki kami były tak naprawdę zakamuflo-

wanymi wizerunkami Boga albo Maryi.

Gdy w latach 60. XIX wieku do Japonii znów przybyli misjonarze, natknęli się na grupy chrześcijańskie, któreypytywały ich, czy znają papieża, czy modlą się do Matki Bożej i czy praktykują celibat. Po uzyskaniu odpowiedzi twierdzącej, oddali się pod opiekę misjonarzy (nieliczna grupa, która tego nie uczyniła, nazywała się hanare kirishitan, „oddzieleni chrześcijanie”, prawdopodobnie istnieje do dziś). Powstała na nowo większa wspólnota katolicka, która skupiała się wokół Nagasaki i Hiroshimy.

Chrześcijanie w Japonii musieli w epoce Edo – czasie izolacji – przynajmniej udawać, że wyznają religię tradycyjną, „drogę bóstw”. Martin Scorsese stawiał w Milczeniu pytanie, na ile można heroicznie, do końca, wyznawać wiarę. Japończycy z czasów Edo odpowiedzieli: można, nawet trzeba, ale jeśli to możliwe, lepiej się nie wychylać, przekazywać wiarę kolejnym pokoleniom i czekać cierpliwie.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



Diabli, czyścownicy i boski – czyli religia po KaczmarSKU



Konrad Myszkowski

„Nie jestem katolikiem, nie jestem członkiem żadnego Kościoła. Religia jest sprawą prywatną pomiędzy mną a Absolutem. Celowo nie używam tu słowa Bóg, ponieważ Bóg kojarzy się w Polsce ze starszym panem, który gdzieś tam unosi się w przestrzeniach, co jest oczywiście absurdalne...” – mówił w wywiadzie w 2000 roku, na cztery lata przed śmiercią, Jacek Kaczmarek. Zapewne większości z nas na dźwięk tego nazwiska staje przed oczami postać brodatego mężczyzny, w średnim wieku, z gitarą, a gdzieś z tyłu głowy rozlega się refren Murów, Obławy czy innej Modlitwy o wschodzie słońca. Kto z nas zagłębił się jednak w przebogatą twórczość barda „Solidarności” na tyle, by przemyśleć licznie w niej występujące nawiązania do religii – przede wszystkim zaś do katolicyzmu?

Co skłania mnie do dotknięcia na łamach Adeste tematu tak trudnego, jak twórczość Kaczmareckiego? Cóż, przede wszystkim – po prostu jestem jego wiel-

kim fanem. Często słucham jego piosenek, interesują mnie również zawarte w nich konteksty historyczne czy kulturowe. Po raz pierwszy Mury usłyszałem

po śmierci artysty, w kwietniu 2004 r., gdy były często powtarzane w telewizji wraz z innymi jego piosenkami. Zainteresowany sięgnąłem po starą kasetę mojej



źródło: wimimedia.org

mamy, z czarnym wilkiem i czerwonymi literami JACEK KACZMARSKI na okładce, kupioną jeszcze w latach 80. podczas koncertu barda w hali TS Wiśła. Z miejsca stała się moją ulubioną kaseta, a sam Kaczmarek, chociaż do jego piosenek wiele razy powracałem po dłuższych przerwach, usadowił się na szczycie moich zainteresowań muzycznych na długo przed tym, zanim dołączyli do niego Pink Floyd, Queen, Kult, Status Quo, Creedence Clearwater Revival czy chociażby Stare Dobre

Małżeństwo. O nawiązaniach Kaczmarek do malarstwa mówiłem zresztą nawet w swojej prezentacji maturalnej z języka polskiego. Jest jednak coś jeszcze – otóż Kaczmarek jest dość często obiektem nadinterpretacji. Przejawia się ona na wiele sposobów, w tym poprzez mało powszechne, ale jednak czasem spotykane przekonanie o antyklerykalizmie czy wręcz antykatolicyzmie artysty. Na katolickich forach dyskusyjnych od czasu do czasu pojawiają się wręcz dyskusje, analogiczne

do dyskusji na temat zespołów metalowych czy rockowych – czy katolik może słuchać piosenek artysty, który przez całe twórcze życie pozostawał poza Kościołem, ochrzcił się na łożu śmierci, a w swoich piosenkach – według niektórych – wyśmiewał wiarę?

Mój Bóg nie stworzył świata w tydzień

Jak dla mnie odpowiedź na pytanie: „Czy katolik może słuchać Kaczmarek?” jest prosta: z całą pewnością tak. Oczywiście, każdy ma swoje zainteresowania intelektualne, muzyczne czy filozoficzne. I tak, dla jednych Kaczmarek będzie za trudny, dla innych niezrozumiały z powodu licznych odniesień kulturowych, a jeszcze innym po prostu nie będą się podobały środki wyrazu, poetyka tekstu, melodie piosenek, styl muzyki – i nie ma w tym nic złego. Sam artysta powiedział kiedyś w wywiadzie, że śpiewa dla siedmiu procent – tych, do których akurat taka sztuka z różnych powodów trafia. Moim zdaniem warto jednak chociaż podjąć próbę, choć na chwilę „się z wolna zanurzyć” w jego twórczość. Jak dla mnie Kaczmarek był po prostu człowiekiem, który rzeczywiście miał coś do powiedzenia – a takich ludzi warto, choć od czasu do czasu, posłuchać.



źródło: pixabay.com

A że po krótkim „zanurzeniu” wielu „zawiśnie na ziemi, choć na niej”, i zapomni, „że musimy zaczerpnąć oddechu”? Cóż, czy jest coś złego w tym, że damy się wciągnąć w dobrą, mądrą sztukę?

Jesteśmy katolikami, a Kaczmarek tematy religijne podejmował w swojej twórczości często i chętnie, zatem jest zrozumiałe, że interesuje nas, w co poeta tak naprawdę sam wierzył. Jak powszechnie wiadomo, Jacek Kaczmarek przez lwiał część swojego życia pozostawał poza Kościołem. Urodził się w niewierzącej rodzinie, a jego rodzice oddali go na wychowanie również niewierzącym dziadkom. „Nie praktykuję żadnej religii i nie tam szukam

pocieszeń” – powiedział kiedyś, już jako dojrzały artysta. Nie był jednak ateistą – był przekonany o istnieniu pewnej Siły Wyższej, przez większość życia nie umiał jednak jej określić, odnaleźć Boga. „Istnieje Coś takiego jak Tajemnica, Absolut, Coś, co jest niezgłębialne. To jest dla mnie przede wszystkim silnym napędem twórczym, ale również rodzajem drogowskazu etycznego, co się wiąże z odpowiedzialnością człowieka za samego siebie” – mówił jeszcze w 2000 r. Mimo to wiele wskazuje na to, że w końcowym etapie życia Jacek Kaczmarek zbliżył się do Boga i do wiary katolickiej. Wpływ na tę przemianę miała mieć jego ostatnia życiowa towarzysząca, Alicja Delgas. To dzięki niej

bard miał zacząć głębiej myśleć o własnej duchowości, co widać zresztą w jego twórczości z tego okresu. Podobno kilka razy miał się przymierzać do przyjęcia chrztu, do czego doszło jednak dopiero na kilka godzin przed śmiercią.

„Obecność katolicyzmu jest nie do uniknięcia, jeśli pisze się po polsku. Wszystko, co odnosi się do przeszłości zarówno kulturowej, jak i politycznej, nie tylko polskiej, ale wszystkich krajów basenu śródziemnomorskiego, musi się otrzeć o chrześcijaństwo” – te słowa z jednego z wywiadów dużo mówią o tym, dlaczego Jacek Kaczmarek w ogóle poruszał w swoich tekstach tematykę religijną. Artysta uciekał się do historii i sztuki, aby ją pokazać i opisać, a także po to, żeby wskazać jakieś ogólniejsze tendencje, nie raz komentujące rzeczywistość współczesną. Dzięki bogatej wiedzy i szerokim zainteresowaniom Kaczmareckiego, teksty odnoszące się do religii i historii Kościoła – podobnie zresztą, jak do wszelkich innych obszarów historii czy filozofii – są zawsze przemyślane i głębokie. Oczywiście, nie zabrakło również pewnej ironii – jak chociażby w utworze Pan Wołodyjowski, gdzie stawiając pytanie o sens ofiary stwierdza, że „do Nieba jest najbliżej z Polski”, czy niezwykłym Książa Jaremy na-

wróceniu, gdzie – jak bard sam przyznał – „w sposób bezczelny nadużył historię nawrócenia na katolicyzm Jeremiego Wiśniowieckiego”, chociażby wkładając w usta kniazia słowa „zechce przyciąć, to się sparzy, bo ja Krzyżem się zastonię – doczekają koroniarze Wiśniowieckich na swym tronie!”, a na koniec mówiąc o nim „neofita, bo polityk”. Wykorzystanie takiej ironii artysta tłumaczył: „Nie piszę »ku pokrzepieniu serc«, a właśnie »ku przerażeniu serc«, jak to określił prof. Jerzy Jedlicki. Moją intencją jest raczej męczenie, budzenie wątpliwości, a nie uspokajanie i podnoszenie na duchu w błogim przeświadczeniu o naszej wspaniałości”.

Siedem demonów, co nami się karmią

Już drugi ze stworzonych wraz z Przemysławem Gintrowskim i Zbigniewem Łapińskim „programów” (Kaczmarek et consortes nie nagrywali wówczas jako takich płyt, ale układali piosenki w tematyczne „programy”), zarejestrowany w 1980 r. – Raj, opierał się w całości o nawiązania do Pisma Świętego. Jacek Kaczmarek tłumaczył: „Myśl przewodnia programu to mechanizm przechodzenia kategorii dobra i zła, uznawanych przez jednostkę, w obszar działań społecznych, ogólnolud-

kich. Moralny wymiar buntu, wiara jako obrona przed racjonalną rezygnacją, wybór wobec groźby, zagłady. Pointa (Powrót) wskazała na konieczność szukania odpowiedzi w samym sobie, na skrajnie indywidualną odpowiedzialność każdego z nas wobec ludzi i przeznaczenia”. Program był więc czysto filozoficzny, aczkolwiek – pomimo oparcia o chrześcijańską symbolikę – jego wymowa nie była zgodna z katolicką wizją Boga i Raju. Wydarzenia staro- i nowotestamentalne – m.in. Stworzenie Świata, Wygnanie z Raju, Walka Jakuba z Aniołem, Hiob, Rzeź niewiniątek, Chrystus i kupcy – prowadzą do wyrażonego w utworze Powrót wniosku, iż tytułowy „raj” jest wczoraj. „Żyć dopiero mogę sam” – stwierdza podmiot liryczny, by podsumować następnie: „Odnalazłem Raj!”.

Bardziej historyzoficzny, a mniej filozoficzny charakter mają rozważania stojące u podstaw programu Wojna Postu z Karnawalem. W wydanym w 1993 r. programie Kaczmarek, Gintrowski i Łapiński przywołują wydarzenia z historii Europy, aby pokazać zachowania ludzi w czasach „przejściowych” – takich, jakie panowały również wówczas w Polsce i innych krajach bloku wschodniego po upadku żelaznej kurtyny i rozpadzie ZSRR. „Na program

»Wojna postu z karnawalem« składają się piosenki, w których próbujemy przypatrzeć się, co robią ludzie, jak się zachowują, jak się mogą zachowywać, a jak się zachowują w sytuacjach przejściowych, w dniach pokryzysowych, czy w dniach kryzysowych, co robią z wolnością, jakie podejmują wybory, kiedy mają tych wyborów bardzo dużo, a wydaje im się, że nie mają żadnego” – mówił sam Jacek Kaczmarek. W rozważaniach znajdziemy również sporo odniesień do Boga i religii, jak chociażby w piosence tytułowej, opisującej konflikt pomiędzy naturalnym u człowieka dążeniem do poznania prawdy, a cielesnymi zachciankami i pokusami: „Dusza moja pragnie postu, ciało – karnawału”. Pierwsze słowa Bankierów, których można odczytać jako opowieść o ludziach stawiających sprawy doczesne ponad metafizycznymi: „Szczęśliwi, nie szukamy Boga. Dla nas jest tylko udziałowcem kantoru, który prosperuje”. O rozterkach młodego człowieka, przytłoczonego liczbą dostępnych możliwości opowiada Syn marnotrawny: „Jestem młody, nie mam nic i mieć nie będę. Wokół wszyscy na wyścigi się bogacą, [...] bo czas możliwości wszelakich ostatnio nam nastał”. Ciekawostką są również aż trzy piosenki nawiązujące do tematu rewolucji protestanckiej



źródło: pixabay.com

– Cromwell, Marcin Luter i Końiec wojny trzydziestoletniej. Cromwell pokazuje wykorzystanie religii do realizacji celów politycznych, co zawsze prowadzi do jej wypaczenia: „Nie może przecież zachować korony, skoro przez Boga został osądzony”. Marcin Luter mówi z kolei o powrocie do esencji wiary – Słowa – ale jednocześnie pokazuje, że odrzucenie autorytetu Kościoła prowadzi do mnogości interpretacji i zaburzenia porządku: „Niech się gorszy pralacja elita, niech się w mękach świat tworzy od nowa! Lecz niech czyta, kto umie, niech nauczy się czytać! Niech powraca – do Słowa!”. Skutki tego zaburzenia porządku ukazane są w bardzo sugestywnych opisach Końca wojny trzydziestoletniej

(„Wydzieraliśmy oczy palcami – tak jest! Przegryzaliśmy gardła zębami – tak jest!”). Opisy poszczególnych wydarzeń z historii Europy prowadzą do niezwyklej kompozycji Siedem grzechów głównych, ukazującej wpływ i obecność zła w dziejach ludzkości: „A nas wiedzie siedem demonów, co nami się karmią: [...] Tak zbrojni w moce, na które nie ma lekarstwa, stawiamy nadal i obalamy mocarstwa”. Przedostatnią piosenką programu jest tonująca nieco emocje Rozmowa, będąca poetyckim zapisem rozmowy Jacka Kaczmarskiego z kobietą (w tej „rolu” Zbigniew Łapiński). To właśnie w tej piosence Kaczmarski wyjaśnia: „Proszę nie czekać na nauki, tezy i wnioski – jestem egzemplarz człowieka, a to zna-

czy – diabli, czyśćcowy i boski”. Spokojna Rozmowa przygotowuje jednocześnie słuchacza na monumentalne podsumowanie Wojny Postu z Karnawalem, czyli odnoszącą wcześniejsze refleksje do współczesnej autorom Polski Kantyczkę z lotu ptaka. Znana już z Pana Wołodyjowskiego ironia – „Patrz, mój dobrotliwy Boże, na swój ulubiony ludek” – prowadzi do smutnej refleksji o stanie moralnym społeczeństwa: „Snuć się, Chryste Panie w chmurze, widząc, jak się naród bawi, znowu chciałby być przedmurzem i w pogańskiej krwi się pławić”; „Załam ręce, Matko Boska, upadają obyczaj, nie pomogła modłom chłosta – młodzież w szranki ciała staje”; „Co nam hańba, gdy talary mają lepszy kurs od wiary!

Wymienimy na walutę honor i pokutę!”. Osobiście uważam, że Wojna Postu z Karnawalem to jeden z najlepszych programów Kaczmarzkiego, Gintrowskiego i Łapińskiego, a Kantyczkę z lotu ptaka po prostu należy znać.

Bardziej religijnym, można by rzec uduchowionym, programem jest Szukamy stajenki z 1994 roku. Zestaw piosenek poświęconych Bożemu Narodzeniu, zaaranżowanych przez Łapińskiego na cały zespół muzyczny, miał być próbą dojrzalego, świadomego spojrzenia na tę tematykę: „Byłem na wielu wigiliach, w wielu domach, gdzie kolędy śpiewano wyłącznie rytualnie, bez refleksji nad tym, o czym się śpiewa. Pomyślałem sobie, że trzeba na te kolędy spojrzeć przez pryzmat współczesności”. Kaczmarzski zwraca szczególną uwagę na ludzkie cechy świadków całego zdarzenia (Maryja, Józef, trzej królowie, pasterze, nawet wół i osioł) oraz nas, współcześnie przeżywających Boże Narodzenie („Szukamy stajenki, gdzie kwili dziecina, trafiamy na pożar w obejściu sąsiada”). „Józefowi ciężko na duszy, Józef dziecku pieluszki suszy” – słyszymy w utworze Tyle złota i purpury, w którym z kolei wszyscy goście odwiedzający stajenkę, a może i my sami, przeżywający święta współcześnie, są określani jako „cudów żądny tłum”. Scenę ze stajenki Kacz-

marzski widzi również w połączeniu z ogólnym sensem życia Jezusa Chrystusa na Ziemi – jak sam powiedział w wywiadzie: „Trzeba odwołać się do tradycji, a jednocześnie znaleźć współczesne brzmienia. Bardzo mi zależało, aby w tym programie zredukować upływ czasu między narodzinami a śmiercią Chrystusa. Żeby ta kołyska spoczywała w cieniu krzyża”. Tę redukcję szczególnie dobitnie widać w piosence Scena to dziwna, w której stwierdza: „Skoro ma umierać za nas i Go męka czeka – w niemowlęciu czcimy Pana: Boga – i człowieka”. Takie ukazanie Bożego Narodzenia odczytuję jako zachętę do podjęcia własnej refleksji na temat tajemnicy wcielenia Słowa Bożego, własnego przygotowania do Świąt i ich przeżywania, a może nawet szerzej – szczerości własnej wiary.

Słowami pieśni okładają się współcześni

Co pozostało po Jacku Kaczmarzskim? Niezwykle bogate dziedzictwo literackie, setki piosenek, nagrań, tekstów. Co my, żyjący 15 lat po jego śmierci, możemy z nich wyciągnąć? Jak każda dobra poezja, tak i teksty Kaczmarzkiego zmuszają do myślenia i mogą zapoczątkować naprawdę ciekawą refleksję czy dyskusję. Aby do tego do-

szło, trzeba jednak wznieść się ponad poziom „przeinaczania moich śpiewek, by się stawały tym, czym nie są”, czy właśnie „okładania się pieśniami”, jak to pisał artysta w Testamencie. O tym jest zresztą jego najbardziej znana piosenka – Mury, czyli opowieść o artyście, którego dzieło przestaje być jego własnością i jest wykorzystywane niezgodnie z jego założeniami, na co on „patrzy na równy tłumów marsz, milczy wsłuchany w kroków huk, a mury rosną”. Oczywiście same Mury spotkał ten sam los, gdyż Kaczmarzski nie mógł przewidzieć, że staną się one jednym z hymnów opozycji antykomunistycznej, choć jako antykomunista chętnie „dodawał im pieśnią sił”. Warto jednak pamiętać, że twórczość Kaczmarzkiego jest zbyt bogata i zbyt dobra, by redukować ją do roli dostarczyciela argumentów w dyskusjach o bieżącej polityce czy sprawach społecznych. „Inaczej zdradzą wielbicieli, że nie pojęli ze mnie wiele”.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło: pixabay.com

Historię piszą filmowcy



Wojciech Gałek

Już na początku XX wieku różne totalitaryzmy skutecznie wykorzystywały umiejętności Leni Riefenstahl czy Siergieja Eisensteina do tworzenia swojej maszyny propagandowej. Dziś, choć większość systemów jawnie totalitarnych odeszła w niepamięć, moc filmu nie zmalała.

Gdy jako rekonstruktor prowadziłem w szkołach warsztaty z historii średniowiecza, zdarzało mi się słyszeć zdanie typu: widziałem coś takiego w filmie lub grze. Cóż, kultura audiowizualna już od dawna włada naszym procesem poznawczym.

Cogito ergo sum – myślę, więc jestem. To stara filozoficzna maksyma pochodząca od Kartezjusza, według której fakt myślenia jest niepowtarzalny. A co za tym idzie, niepowtarzalne jest istnienie osoby myślącej. Dziś bardziej trafna mo-

głaby być fraza video ergo sum – widzę, więc jestem. Giovanni Sartori stworzył nawet pojęcie homo videns, dość krytycznie oceniające współczesnego człowieka. I choć teza filozofa, że tracimy swoje zdolności myślenia abstrakcyjnego, jest zbyt pesymistyczna i nie uwzględnia niezwykle licznych walorów współczesnej sztuki audiowizualnej, to w jednym zdecydowanie się sprawdza – współcześnie widz zaczyna czerpać swoją wiedzę o świecie z filmów i programów telewizyjnych. Czy to

źle? Odpowiedź na to pytanie jest oczywista: to zależy... Bo filmy, podobnie jak książki, mogą sobie z historią radzić dobrze lub wręcz przeciwnie.

Niezwykła lekcja historii?

Ridley Scott, nominowany do Oscarów i Złotych Globów. Zdobywca nagrody specjalnej w Cannes. Twórca takich dzieł jak: Obcy, 8 pasażer Nostromo, Helikopter w ogniu, Gladiator. Jeden z najpopularniejszych współczesnych reżyserów. Ka-

dy jego film jest oglądany przez miliony widzów na całym świecie. W jego dorobku znajduje się także kilka produkcji poruszających temat średniowiecza. Królestwo Niebieskie opowiada historię ostatnich lat Królestwa Jerozolimskiego za panowania Baldwina Trędowatego i Gwidona de Lusignan. Robin Hood to kolejna wersja opowieści o legendarnym angielskim łuczniku, przenosząca nas do Anglii początku XIII wieku. Pytanie brzmi: czy twórcy w ramach swoich opowieści pokazali na ekranie realia tamtej epoki, czy też pod płaszczykiem historyczności próbowali przekazać bardziej współczesną treść?

Scott to jeden z tych reżyserów, którzy doskonale wiedzą, jak operować obrazem w filmie. Niemal wszystkie jego produkcje zachwycają swoją oprawą wizualną. Malownicze pejzaże, wykonana z dbałością o szczegóły scenografia i kostiumy, niesamowite zdjęcia. Wszystko to sprawia, że widz chętnie zanurza się w wykreowany przez twórcę świat. Niezależnie od tego, czy reżyser rzuca nas do starożytnego Rzymu, średniowiecznej Europy czy współczesnego Bliskiego Wschodu, ma się wrażenie, że to, co widzimy, istnieje lub istniało naprawdę.

Jednak przy dokładniejszym przyjrzeniu się, oko wprawne go widza jest w stanie dostrzec, że



źródło: pixabay.com

ta „historyczność” strony wizualnej jest bardziej stylizacją na daną epokę niż faktycznym odtwórstwem. Zazwyczaj sprowadza się do detali: a to ubiór bohatera będący raczej wariacją na temat kostiumów ze światów fantasy, a to dziwny model średniowiecznych łodzi desantowych, łudząco podobny do tych z operacji Overlord z 1944 roku.

Czasem są to jednak większe, choć pozornie nieistotne przeinaczenia, np. scena śmierci cesarza Kommodusa. Trudno też uznać za potencjalnie historyczne perypetie głównych bohaterów Królestwa Niebieskiego i Robin Hooda. W pierwszym z tych filmów grany przez Orlando Blooma Balian, kowal, okazuje się synem rycerza, krzyżowca z Ziemi Świętej. W wyniku licznych zawirowań losu bohater zostaje panem na zamku Ibelin,

zyskuje przyjaźń króla Baldwina Trędowatego, ma romans z królową Sybillą i wreszcie broń Jerozolimy przed atakiem Saladyna. Bohater drugiego filmu, łucznik Robin z armii Ryszarda Lwie Serce skutecznie podszywa się pod rycerza (co byłoby niemożliwe choćby ze względu na sposób mówienia), a następnie walczy o ograniczenie praw króla na rzecz wszystkich poddanych. Dlaczego? Bo wszyscy ludzie powinni być równi wobec prawa. Krótko mówiąc, Robin Hood staje się bojownikiem o pewną formę demokracji w średniowieczu.

Z jednej strony to tylko licentia poetica i nie ma twórcy, który nie próbowałby kreować filmowego świata według swojej wyobraźni. W końcu kino to jedna z form tworzenia opowieści. Z drugiej strony, czy lekcewa-

żenie lub przetwarzanie niektórych faktów historycznych nie jest próbą reinterpretowania przeszłości? I czy ignorowanie pozornie nieistotnych elementów nie może prowadzić do przerabiania nieco bardziej kluczowych kwestii? Wszak kto w drobnej rzeczy jest nieuczciwy...

Zły chrześcijanin, dobry...

Zofia Kossak-Szczucka pisząc w pierwszej połowie XX wieku swoją trylogię o wyprawach krzyżowych, nie uciekała od tematów trudnych i niejednoznacznych, takich jak brutalne i szlachetne działania krzyżowców, polityczne zagrywki Bizancjum, heroizm i agresja muzułmanów. Także stworzeni przez nią bohaterowie nie są ani kryształowi, ani zepsuci do szpiku kości.

Współczesne kino zazwyczaj też nie przepada za bohaterami jednowymiarowymi, choć oczywiście dobrze jest, gdy sympatia widzów skłania się ku protagoniście. Dlatego zazwyczaj (choć oczywiście nie jest to reguła) główny bohater jest postacią pozytywną. Inaczej może być z osobami drugo- czy trzecioplanowymi. Twórcy mają duże pole do popisu przy wypełnianiu swojego świata przedstawionego.

Przenosząc nas w czasy śre-

dniowiecznej Europy i Bliskiego Wschodu, Ridley Scott także próbował przedstawić nam postacie z różnych kultur, stanów i kręgów kulturowych. Oglądając *Królestwo Niebieskie* odnosi się jednak wrażenie, że obrazy poszczególnych osób oraz grup społecznych jest wyrazem pewnych sympatii i antypatii, co w ostateczności rzutuje na ostateczną wymowę filmu.

W *Królestwie Niebieskim* wyraźnie brakuje próby zagłębienia się w ówczesne realia polityczne i kulturowe. I choć wyraźny spór między pullanami (zabiegającymi o pokojowe relacje z Bizancjum i muzułmanami) a przybyłymi z Europy krzyżowcami (którym nazbyt często przyświecała chęć szybkiego wzbogacenia się) istniał faktycznie, o tyle motywacje poszczególnych grup są przedstawione w sposób niezwykle powierzchowny. Przedstawienie polityki wewnętrznej i zagranicznej Królestwa Jerozolimskiego sprowadzono do prostej opozycji „dobry-zły”.

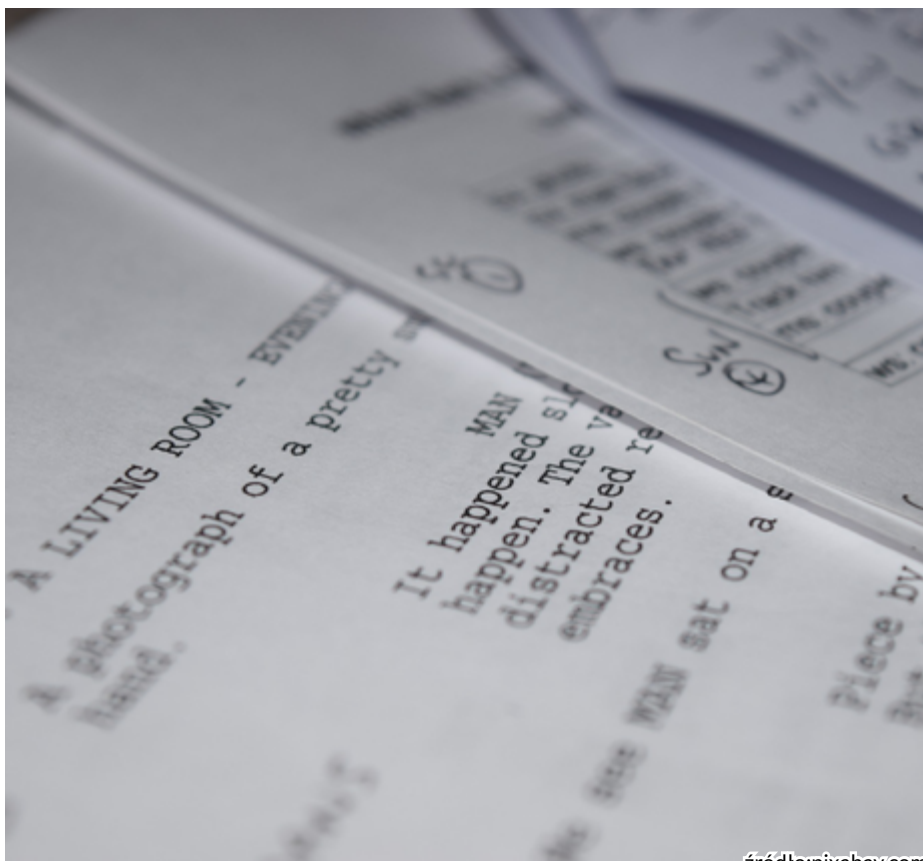
Z tego braku zniuansowania wyłania się kolejny stronniczy obraz ówczesnej rzeczywistości, gdzie szlachetność i zbrodnia przeplatały się ze sobą na każdym kroku. Negatywnymi bohaterami całej opowieści są religijni fanatycy, którzy za główny cel obrali sobie wojnę totalną z niewiernymi. Na ich

czele stoją przede wszystkim księża oraz zakony rycerskie z templariuszami na czele (do których nie wiedzieć czemu zaliczono Gerarda de Ridefort i Gwidona de Lusignan). Stanowią oni kontrast zarówno dla pokojowo usposobionych muzułmanów (a zwłaszcza Saladyna), jak i wcześniej wspomnianych pullanów, których reprezentują m.in. król Baldwin oraz, co oczywiste, Balian z Ibelinu, czyli główny bohater.

O ile przedstawienie antypatycznego, niepokornego i agresywnego Gerarda de Ridefort oraz lekceważącego moralne zasady patriarchy Herakliusza jest bliskie prawdy, o tyle pozostali bohaterowie są prezentowani w dużo jaśniejszych lub ciemniejszych barwach, niż wskazuje na to historia.

Nie inaczej jest z księżmi. Choć Ridley Scott przedstawia ich wady w sposób bardziej subtelny niż Wojciech Smarzowski w *Klerze*, to jednak ostateczny wizerunek kapłana jest mocno negatywny. Ksiądz z wioski Baliana, patriarcha Herakliusz, wędrowni kaznodzieje – to postacie wybitnie antypatyczne. Nie licząc jednego biskupa z początku filmu praktycznie nie ma żadnych księży stanowiących przeciwwagę dla tych, których moralność można uznać za wypaczoną.

Podobnie sytuacja wygląda



źródło:pixabay.com

w przypadku filmu Robin Hood. Tam także zbudowana jest silna opozycja (tak typowa dla legendy o tym łuczniku). Dobrzy są biedni wieśniacy. Żli – ci, którzy się na nich wzbogacają poprzez zbieranie podatków, czyli szeryf, książę Jan oraz... książę. Pozytywnym wyjątkiem od tych ostatnich jest tradycyjnie braci-szek Tuck.

Czy zatem w tych filmach nie pojawiają się pozytywni, religijni katolicy? Owszem, pojawiają się. Jednak ma się wrażenie, że bohaterowie są o tyle dobrzy, o ile różnią się od zasad „narzucanych” przez Kościół.

Kościół wg Scotta

Z tego wszystkiego wyłania się raczej nieprzyjemny obraz

Kościół, pełnego zakłamanych, nietolerancyjnych ludzi. Nie ma co ukrywać – zarówno tysiąc lat temu, jak i teraz byli i są źli i dobrzy księża, żołnierze, robotnicy itp. Jednak czasami ma się wrażenie, że pozytywni bohaterowie są o tyle dobrzy, o ile przeciwstawiają się swoim zachowaniem zasadom religijnym.

Kościół katolicki sprowadzony jest do roli instytucji, która kieruje się bardzo przyziemnymi, wręcz groźnymi dla społeczności zasadami. Papież organizuje krucjaty, by zabić niewiernych i zajmować ich ziemie. Biskupi i księża współz moźnymi gnębią ubogich mieszkańców Anglii.

Taki wizerunek Kościoła bezpośrednio przekłada się także na sposób postrzegania przez

widza epoki średniowiecza. W popkulturze wciąż dominują mity na temat rzekomego zacofania ludzi żyjących w tamtych czasach. A to, że obowiązywała nauka o płaskiej Ziemi, a to zacofanie technologiczne, a to brud na ulicach miast (tak jakby dzisiejsze czasy nie borykały się z niemal identycznymi problemami). Krótko mówiąc – średniowiecze, również dzięki Kościołowi, to okres całkowitego regresu myśli ludzkiej. Zarówno Królestwo Niebieskie, jak i Robin Hood wpisują się w tę retorykę.

Scott nie ogranicza się do eksponowania negatywnych zachowań poszczególnych osób ani nawet większych grup społecznych. Reżyser bezpośrednio krytykuje filozofię i teologię Kościoła katolickiego, a nawet każdą zorganizowaną formę religijności. Ridley Scott w Królestwie Niebieskim i Robin Hoodzie podkreśla sympatię wobec moralności i wiary wynikającej z osobistych przemyśleń poszczególnych postaci. Pozytywni bohaterowie odrzucają moralność wynikającą z czyichś ogólnych ustaleń. Krótko mówiąc – dobre jest to, co ja uważam za dobre.

Z tego powodu średniowieczni protagoniści filmów Scotta prezentują zazwyczaj którąś z następujących postaw: albo jest to religijny sceptycyzm,

ocierający się momentami o areligijność, albo chrześcijaństwo w wydaniu niektórych denominacji protestanckich, dla których źródłem moralności jest każdy człowiek z osobna, albo pewnego rodzaju egalitaryzm religijny. Tym samym Kościół katolicki ze swoją hierarchią (którą odrzucają sami chrześcijanie) oraz konkretnym i precyzyjnym systemem moralnym nie może być traktowany jako coś pozytywnego.

Niezwykle wymowna scena śmierci Baldwina Trędowatego jest jasna. Konający król wyraźnie rezygnuje z możliwości spowiedzi, mówiąc patriarsze, iż wypowiada się bezpośrednio Bogu. Pomijając ewentualną niechęć monarchy do tego konkretnego kapłana, wydaje się, że nie jest to postawa, którą mógł reprezentować chrześcijański władca Królestwa Jerozolimskiego.

I w całym tym narzekaniu nie chodzi o to, że Scott ośmiewa się krytykować Kościół lub przedstawia złych księży. Bynajmniej. Każdy świadomy widz z odrobiną wiedzy jest świadom tego, że ludzie byli, są i będą różni. Niezależnie od epoki, wyznawanej religii, majątku czy kraju pochodzenia. Zofia Kosak-Szczucka nie bała się obrazów fałszywych księży, pełnych hipokryzji chrześcijan. Ale w jej powieściach zawsze można było



źródło: youtube.com

dostrzec coś więcej: że wypaczenie idei nie jest jej sednem, lecz przeciwieństwem.

Odpowiedzi zamiast pytań

Tymczasem Scott w dość jednostronny sposób podchodzi zarówno do Kościoła, jak i całego średniowiecza, i jest to podejście mocno krytyczne. Dlaczego? Trudno powiedzieć. Z pewnością duży wpływ mają poglądy reżysera, który jest postacią bardzo negatywnie nastawioną do każdej religii, o czym wspominał w wywiadzie dla Esquire. Z tego powodu temat wiary i religijności bywa przedstawiany w sposób wypaczony, bez próby porządnego zaznajomienia się z tematem. Można krytykować wypaczenia ruchu krucjatowego, ale oderwanie

ich od kontekstu historycznego prowadzi do zwykłego fałszowania historii, którą później oglądający ją widzowie uznają za prawdę.

Nie można powiedzieć, że kino nie dorosło do pokazywania tematów filozoficzno-egzystencjalnych. Wielokrotnie na ekranach pojawiały się produkcje zadające wiele trudnych pytań. Ridley Scott także próbuje stanąć w rzędzie filozofów kina. Problem w tym, że zbyt często udziela błędnych odpowiedzi.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*